

arena14

Pismo Międzynarodowego Stowarzyszenia Polskich
Dziennikarzy, Pisarzy i Artystów

Halina Godecka | Ewa Michałowska-Walkiewicz

Bolesław Bieniasz | Marek Kot | Gitta Rutlege

Stefan Godecki | Bożena Sroka | Bożena Pawłowski-Kilanowski

Lucyna Krupa-Szado





Kilka słów...

oddajemy do Waszych rąk kolejny, 14 już numer Areny. Sporo się w międzyczasie działo, bo budziliśmy się po pandemii i uczyliśmy się z nią koegzystować. Zaczęłam czytać *Empuzjon* Olgi Tokarczuk, książkę, która wciągnęła mnie bez reszty i żałuję tylko, że życie poza domem ma dla mnie sporo obowiązków, bo najchętniej bez wyrzutów sumienia siedziałabym w domu i czytała jednym tchem. *Empuzjon* to horror przyrodolecniczy z początku XX wieku z akcją w dolnośląskim (wówczas pruskim) kurorcie specjalizującym się w leczeniu chorób płucnych. Ciekawa jestem jak się akcja rozwinie, ale atmosfera książki jest tyleż frapująca jak bliska moim wyobrażeniom z tamtych czasów. To drobna wstawka z mojej strony, ale już wracam do tego co między innymi zaoferuje Wam Arena.

Gittę Rutledge znamy jako poetkę i autorkę własnej interesującej biografii, ale jako kolekcjonerkę bezcennych przedmiotów, dopiero teraz. Polecam również krótkie opowiadania Bolesława Bieniasza, które mnie zauroczyły (jak zawsze) i świetnie się je czyta. Stefan Godecki zaprosił nas do swojego świata w ciekawy sposób opisując swój punkt widzenia na sztukę nowoczesną i odnawianie kontaktów studenckich w czasie pandemii. Znajdziecie również debiut literacki Marka Kota, którego jedno z 21 opowiadań. Pan Kot jest pierwszym kominiarzem w Polsce, który chwycił za pióro i pisze oryginalne krótkie opowiadania o nas i dla nas jakich jest udziałowcem w trakcie swojej pracy zawodowej. Niedawno został jednym z laureatów nagrody dla twórców Marszałka Dolnośląskiego, a w przyszłym roku wyjdzie jego debiutancka książka pt "Biały uśmiech kominiarza". Ewa Walkiewicz niestrudzenie wyszukuje ciekawe imprezy kulturalne w kraju i zaprasza nas do dawnej apteki w Krakowie i na noc muzeów w Pałacu pod Blachą w Warszawie. Znajdziecie też wieści ze świata twórców polskich spod klonu od Bożeny Pawłowskiej-Kilanowski z Kanady. Wszystko będzie przeplecione ciepłymi i niezwykle pozytywnymi uczuciowo nowymi wierszami Bożenki Sroki. Dadzą one pewnie początek kolejnemu (już IV tomowi) wydawnictwu jej wierszy.

A ja zapraszam wszystkich do Katowic, które zmieniają się na naszych oczach w dobrym kierunku. Tym razem po pięciu latach poważnych i rozległych robót, zostało otwarte ponownie Śląskie Planetarium. Zostało rozbudowane, unowocześnione z nową aparaturą do projekcji nieba i gwiazd z możliwością skorzystania z symulatorów lotu w kosmos i trzęsienia ziemi. Zapowiada się fascynująco.

Zapraszam do przeczytania 14 numeru Areny i podzielenia się swoimi wrażeniami.

Halina Godecka
Redaktor naczelna
Prezes MSPDPiA w Malme

Szok towarzyski

Bolesław Bieniasz

5

Wiersze

Bożena Sroka

7, 31, 35

Linoskoczek

Marek Kot

8

Kolekcjonerka

Gitta Rutlege

12

List do Szolema

Alejchema

Bolesław Bieniasz

15

Śląski nieboskłon

16

W metrum haiku

Bolesław Bieniasz

19

Robert

Stefan Godecki

19

Kicz albo głębokie wzruszenie

Bolesław Bieniasz

23

Związek Piłsudczyków

24

Bezszelestnie

Gitta Rutlege

25

Historia krakowskiego muzeum

Ewa Michałowska-Walkiewicz

26

Pałac Pod Blachą w noc muzeów

Ewa Michałowska-Walkiewicz

27

**Ciary, czyli Czwartkowe wino
w dobrym towarzystwie**

Stefan Godecki

29

Polonijne wieści spod klonu

Bożena Pawłowski-Kilanowski

32

Mazury ...ach Mazury!

Lucyna Krupa-Szado

34



Międzynarodowe Stowarzyszenie
Polskich Dziennikarzy, Pisarzy i Artystów
z Siedzibą w Malme
arena

redakcjaarena@malme.eu

www.malme.eu

Redaktor naczelna

Halina Godecka

Zespół redakcyjny

Członkowie Stowarzyszenia

Opracowanie graficzne

Tomasz Kowalski

© MSPDPiA, 2017

Materiałów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów i poprawek w publikowanych tekstach, a także do selekcji i uzupełnień materiału ilustracyjnego. Nadsyłane fotografie, rysunki itp. w skali 1:1 powinny mieć rozdzielczość minimum 300 dpi.

Szok towarzyski



Bolesław Bieniasz

Belgia

Otworzyły się drzwi i ukazała się w nich szczupła, starannie ubrana starsza pani. Zrobiła mały krok do tyłu, co można było odebrać jako odruch zdziwienia lub zakłopotania, mimo że spodziewała się gości. Weszliśmy do środka – mój szef i ja. W salonie przyjął nas jej mąż przyjaznym gestem i tymi oto słowami:

– Wejdźcie proszę, jakże nam miło, jesteście nieprawdopodobnie punktualni. Rozgoście się. O, tak właśnie mieszkamy. Spędziliśmy przeszło 30 lat w służbowym mieszkaniu, w banku. Byłem jego dyrektorem i musieliśmy dostosować się do norm kontraktu, co ma dodatnie i ujemne strony. Po przejściu na emeryturę znaleźliśmy się nagle bez własnego kąta i nawet bez mebli. Po krótkim pobycie w hotelu kupiliśmy ten oto apartament. Wahaliśmy się czy zaakceptować mieszkanie na parterze. Decyzja wnet zapadła. Dzięki temu układowi mamy piękny ogród, z którego możemy korzystać i chętnie korzystamy. Nie myślcie tylko, że sam strzygę trawę lub zostawiam tę pracę mojej żonie, nawiasem mówiąc chorej na reumatyzm. Jak widzicie, młodość mamy już za sobą. Ukrywanie pewnych mankamentów zdrowotnych byłoby z naszej strony co najmniej pretensjonalne. Po długiej karierze na kierowniczym stanowisku stać nas na opłacenie ogrodnika. Mam na myśli moją pensję, gdyż

moja żona nigdy nie pracowała. Zajmowała się grą na fortepianie dla swojej – bądźmy jednak ściśli – także dla mojej przyjemności oraz porządowaniem notatek swego ojca. Był to człowiek wysoce wykształcony i równie wysoce ekscentryczny. Dziś jest już prawie zapomniany. Resztę możecie sobie łatwo wyobrazić.

– Nie musisz gościom wszystkiego opowiadać, wtrąciła jego żona. W końcu są to nasze osobiste sprawy, a panowie nie przyszli po to, aby tracić czas i wysłuchiwać twoich komentarzy. Nigdy nie próżnowałam. Ty byłeś « wciąż » zajęty i nigdy nie interesowałeś się edukacją naszych dzieci. Dobrze, że przynajmniej nie zapominasz o prezentach dla wnuków.

Były dyrektor, w przeciwieństwie do swojej żony, odznaczał się sylwetką raczej korpulentną i jowialnym sposobem bycia, choć w tym momencie nagle umilkł. Nieco wcześniej, zachęcony do zajęcia wygodnego miejsca, zagłębiłem się w klubowym fotelu. Nie wiedziałem, że przyjdzie mi niebawem z niego wyskoczyć. Siedziałem tymczasem naprzeciw ogromnego okna, za którym rozpościerał się ich wspaniały ogród strzyżony przez ogrodnika. Nastąpił moment niewygodnej ciszy, którą przerwał mój szef, wyjmując z teczki kopię nagrania referatu teścia dyrektora. Przemowa ta, związana z pewnym prądem literackim,

została wygłoszona kilkadziesiąt lat wcześniej z okazji jakiegoś pół-oficjalnego zebrania. Mój szef miał dostęp do rozmaitych archiwów minionej epoki. Pani domu, dzięki swym relacjom, odszukała mojego zwierchnika, który obiecał jej zająć się tą sprawą i udostępnić im prawie że zapomnianą pamiątkę rodzinną. Ponieważ i ja pracowałem nad kopią nagrania, zostałem także przez nich zaproszony. Przy okazji zabrałem szefa samochodem.

Kiedy pani domu zabierała się właśnie do wyjścia do kuchni, by przygotować kawę, mąż jej odezwał się na nowo :

– Jakżesz miło ze strony panów. Ludzie obiecują wiele i nie dotrzymują słowa. W moim zawodzie było to nie do pomyślenia. Odnośnie nagrania, nie możemy się wprost doczekać. Zaraz je posłuchamy. Włożę tylko kasetę do aparatu.

– Jestem pewna, że ci się nie uda, zareplikowała jego żona. Nie udawaj. Nigdy nie wiedziałeś – i jak dotychczas nie wiesz – na który guzik nacisnąć. Sama to zrobię.

– Zajmij się lepiej perkolatorem, krzyknął, bo znów może pęknąć. To już czwarty w tym roku. I nie rób mi wstydu. Nie jestem przecież debilem, choć mnie za takiego uważasz.

Pani domu zniknęła. Mój szef – udając, że nie usłyszał niczego – zaczął przechadzać się po obszernym

salonie i oglądać angielskie sztychy przedstawiające polowanie z psami, a były dyrektor – niemal błagalnym gestem – dał mi znak, bym niezwłocznie podszedł do niego. Zerwałem się więc. Kładąc palec na ustach i zniżając głowę wyszeptał pospiesznie :

– Powiem panu, że ja już nie mogę wytrzymać. Lat mam już przeszło 80 i chwilami czuję się nie najlepiej. Mimo wszystko noszę się z zamiarem rozwodu. Nie jest pan zbyt młody i zapewne łatwo mnie pan zrozumie.

Chciał jeszcze coś dodać ale w tym momencie jego żona weszła z filiżankami i tacą pełną ciastek. W

ułamku sekundy, jakby w efekcie niezawodnej synchronizacji znanej dobrze z filmów, dał się słyszeć głos jej nieżyjącego już ojca.

Atmosfera wróciła do normy, choć pozostał drobny, niezarty osad. Chcąc nie chcąc, zasiedzieliśmy się nieco. Rozmowa zesłała na rozmaite tematy. Podwieczorek był doprawdy znakomity. Zapraszali nas, by – za jakiś czas – znów do nich zawitać, gdyż – jak podkreślili kolejny już raz : „było im z nami szczególnie miło”.

Kiedy przygotowywaliśmy się do wyjścia, były dyrektor – dotychczas

spięty – rozprostował się, uśmiechnął i wypowiedział te oto słowa :

– Wypadałoby was przeprosić, pomimo że nie jest to właściwie konieczne. Daliście się nabrać, co łatwo było wyczytać z waszej zaniepokojonej twarzy. Jesteśmy wyjątkowo dobranym małżeństwem. Nudzimy się jednak. Za każdym razem, kiedy przychodzi do nas ktoś po raz pierwszy, udajemy sprzeczkę i zawsze się nam to udaje.

2015, © SABAM Belgium





Bożena
Sroka

Polska

Kogo to

Kogo obchodzi mój ducha stan,
kogo obchodzi tęsknota,
którą w sercu mam
i ciężki do zniesienia ból?
Za późno na zmiany,
czas wyboru nie daje,
nie warto się już śmiać.
Kogo obchodzi mój ducha stan
i ten smutek ciężki jak stal?
Za późno już na łązy,
na gesty i tak nie warte nic.
Za późno na kocham,
próżne żale dzisiaj są.
Mówiłam,
jutro spotkamy się,
jutro powiem ci jak przykro mi
i że szkoda słów tych bezmyślnie
z wiatrem rzucanych,
że gniewu za dużo w oczach mam,
przepraszam... za późno.
Nikogo dziś nie ruszy duszy mojej stan.

„Świtanie”

właśnie świt
zaprosił mgłę do tańca,
promienie rozbudzonego słońca
objęły ciepłem każde źdźbło trawy
każdy najmniejszy liść na drzewie
ptak ze skrzydeł strząsnął sen
i wysoko do nieba wzleciał
budząc dzień.

Marzyciele

O marzeniach tylko echo
cicho przypomina mi...
Byłeś młody wtedy
moim pierwszym, cichym
westchnieniem byłeś,
napisanym nad ranem wierszem.
Ty budowałeś z marzeń nam dom.
Jeden oddech losu rozwiął nadzieję
ty rozrzuciłeś ją po kątach
i kurz ją pogrzebał.
Tak łatwo poszło.
Nadal nie wiesz gdzie podział się
czas i szalone serca czemu
wolniej biją dziś.
Teraz o marzeniach tylko echo
przeszłości przypomina mi.
Młoda byłam wtedy
pisałam wiersze, z głową w chmurach
błądziłam i pewnie tam, przypadkiem
na ciebie wpadłam.
Marzyciele lubią śnić
mieć dla kogo żyć,
lubią tracić przez kogoś głowę.
Nadal nie wiem jak i gdzie
przepadł nasz czas
ale echo spytać chcę.

Linoskoczek

Marek Kot

Polska

Czerwcowe dni. Od tygodnia w mieście trwają przygotowania do corocznych obchodów Dni Opola. Święto, którego atrakcyjność w dużym stopniu zależy od pogody. A ta, tym razem miała dopisywać. Dookoła rozstawiają się firmy gastronomiczne. Powstają dodatkowe ogródki piwne i dwie sceny z nowoczesnym oświetleniem. Dla najmłodszych zaplanowano nie lada gratkę w postaci ogromnej karuzeli z gondolami. Zatrzymałem się przy czerwonej budce telefonicznej. Jeden z symboli londyńskich zdobi opolski rynek. Oparłem o nią swój rower i zacząłem czytać plakat z repertuarem nadchodzącej imprezy.

Trzy kolejne dni zapowiadały się obiecująco. Artyści znani i mniej znani zapowiedzieli swoje występy. Na bogatej liście atrakcji, moją uwagę przykuła obecność linoskoczka. Zaplanowany pokaz podniebnej akrobaty miał się odbyć już następnego dnia. Muszę to zobaczyć. Będę starał się być na wszystkich trzech pokazach. Spojrzałem na wąską linę już rozciągniętą nad moją głowę. – Jakie my wspaniałe rzeczy potrafimy robić – Szeptalem do siebie myśląc o wyjątkowym akrobacie, obdarzonym niezwykłym talentem i odwagą oraz fantastyczną pasją. Ucieszyłem się, że wkrótce go zobaczę. Ratuszowa wieża stanowiła początek jego trasy po niebie. Pokaz odwagi na wysokości trzydziestu metrów, niesamowite!. Publiczność oczekiwała czegoś spektakularnego. Rozciągnięta na długości dobrych stu metrów lina prowadziła do Kościelnej wieży przy ul. Piastowskiej. Spacer w chmurach miał się odbyć już w najbliższy piątek przed południem o godz. 11-tej. Sprawdziłem, która jest godzina. Do mojej przerwy pozostało jeszcze sporo czasu. Zabrałem się więc do realizacji zaległych przeglądów, które telefonicznie zlecił mi szef. Adresy znajdowały się w rynku i bocznych jego uliczkach. Wszedłem do starej oficyny z wąską klatką schodową. Wchodząc po schodach niechcący spłoszyłem kilka gołębi siedzących na parapecie. Po drodze, minąłem anemicznego fikusa w dużej glinianej donicy. Przechylny z racji dojrzałego wieku, sprawiał wrażenie jakby tracił przytomność. Ktoś chyba wyrzucił, niegdyś popularną roślinę domową na korytarz. Piętro wyżej na zielonej ścianie rozciągał się pospolity i równie jak ściana, zielony bluszcz. Obie rośliny, królowały kiedyś często w mieszkaniach. Te, swój najlepszy czas miały już za sobą. Kiedy dotarłem pod wskazany adres, moją uwagę przykuły rowery, spięte stalową linką. Niewielka kamera zamontowana nad drzwiami mieszkania, miała oko na sprzęt rekreacyjny, a dREW-

niana drabina, która stała tuż obok budziła wyobraźnię, prowadząc do wyjścia na dach. Małżeństwo z dwójką dzieci mieszkało za tymi drzwiami. Taką informację odczytałem, biorąc pod uwagę ilość i wielkość rowerów. Wyczyszczone, zabezpieczone, wyglądały jak nieużywane. Widać było, że właściciele dbali o ten sprzęt, który pozwalał im spędzać czas razem. Czysta podłoga i niebieskie drzwi z ciekawskim jak zawsze judaszem. Na drzwiach przeczytałem inspirujący napis „Życie Da Tobie tyle, ile masz odwagi WZIĄĆ” zapowiadał spotkanie z ciekawą rodziną. Zapukałem. Drzwi otworzył mężczyzna mojego wzrostu. Był trochę zakłopotany ale uśmiechnął się. Wyszedł i w pośpiechu zamknął za sobą drzwi tłumiąc silny przeciąg. Stanął tuż przy mnie wyciągając rękę na przywitanie.

– Co się dzieje, jakiś pożar?

– Nie, przyszedłem nadrobić zaległy przegląd. Nie było państwa w domu podczas wytyczonego terminu.

– Aa kominiarz! Faktycznie wisiała kartka z informacją o przeglądzie. Zapraszam do środka. Gospodarz otworzył drzwi na oścież. Przeciąg omal mnie nie przewrócił. Ledwo przekroczyłem próg, a zostałem zaczarowany. W głębi mieszkania zobaczyłem otwarte skrzydła dużego, kuchennego okna, a między nimi dwójkę dzieci stojących tyłem do mnie. Chłopczyk i dziewczynka spoglądali na kolorową karuzelę tak dużą, że będącą prawie na wyciągnięcie ręki. Bajkowy widok z krainy czarów. Oboje mieli na sobie dżinsowe, krótkie ogrodniczki i długie do kolan kolorowe skarpety. Dziewczynkę zdobiły kucyki i wyraźny przedziałek. Miała piegi i oczka czarne, błyskotliwe jak węgliki. Taka opolska Pippi Langstrumpf z psotliwym uśmiechem i słodkimi dołeczkami na policzkach. Planowała chyba jakąś swoją przygodę i dobrą zabawę. Chłopczyk miał gęsto kręcone kędziory porozrzucane na całej głowie. Kilka piegów jak jego siostra i śmieszny szparę między zębami. Odgłosy miejskiego zgiefku przeplatane gwarem początkującej imprezy wpadały do mieszkania, wprowadzając tym samym domowników w atmosferę, rozrywkowego weekendu. Jak się szybko okazało to obserwatorium miało same zalety. Można było zaspokoić ciekawość wszystkiego co dotyczyło imprez na rynku w czasie trwania Dni Opola.

Wiedziałem, że w tym mieszkaniu jest zainstalowana koza, którą musiałem sprawdzić pod kątem sprawności technicznej. Stała w głębi sąsiedniego pokoju po pra-

wej stronie. Służyła jako żeliwny piec opalany drewnem, była świetną ozdobą, oryginalnym meblem, przydatnym ogrzewaniem w chłodniejsze dni. Podczas tego sprawdzania moją ciekawość zwróciły dwa duże plakaty o różnej tematyce. Ten pierwszy, zamieszczony wysoko na ścianie nad piętrowym drewnianym łóżkiem, przedstawiał Otylię Jędrzejczak. Olimpijska mistrzyni „pilnowała” medale wywalczone przez małego Antosia na zawodach pływackich. Srebrny medal wisiał po prawej stronie z biało-czerwoną wstążką, a brązowy troszeczkę niżej w lewym rogu plakatu. Moją szczególną uwagę przyciągnęło zobrazowane poprzez plakat, marzenie siostry Antosia, Milenki. Przedstawiał sławny na cały świat Teatr Balszozj w Moskwie z jego ogromną sceną i baletnicami na pierwszym planie wydawał się być zobrazowaniem przyszłych planów dziewczynki. Pokój był przestronny, jasny z wpadającą masą dziennego światła należał do dwójki rodzeństwa i ich babci. Jednak moją uwagę przyciągnęła nakryta ciemnym płótnem klatka podpowiadała mi, że lista lokatorów w tym pokoju jest odrobinę dłuższa. Frajdę sprawiał mi ten owalny czarny rebus w klatce i pobudzał moją ciekawość z minuty na minutę. – To jest fajna rodzina, jestem w niezwykłym domu – pomyślałem.

Wszedłem do kuchni

– Cześć dzieciaki! – Zaczepnie zwróciłem się do rodzeństwa.

– Dzień dobry! – odpowiedziały lekko zaskoczone. Pochłonięte były niecodziennym widokiem i nie zwracały uwagi na jakiegoś tam kominiarza. Zrobiłem co do mnie należało i poprosiłem o szklankę wody. Pani Ania mama Antosia i Milenki, zapytała czy może być niegazowana bo tylko taką mają. W między czasie z dużego pokoju przyfrunęło do kuchni „kawałek egzotyki”. Zatrzepotało skrzydłami i usiadło na otwartym skrzydle okna. Papuga Rozella, o świetnym imieniu Lucy, zaczęła „gadać” w kuchni. Ależ ta papuga była ładna i bardzo pasowała do tych dzieci. Spoglądała na mnie z bezpiecznej odległości. Kiwała główką i puszczała oczko w sekundowych odstępach. Zmieniała zwinnie pozycje przesuwając się bokiem raz w jedną, raz w drugą stronę.

– Zapewne zastanawiało pana, co się ukrywa pod nakryciem klatki? Entuzjastycznie przedstawił pupila tata

– Sądziłem, że dla uzyskania spokoju i ciszy nakrył pan parę krzyczących papużek falistych, a tu proszę, taka piękność.

Domowy zwierzyniec okazał się liczniejszy, bo za papugą przywędrowała do kuchni kotka Wiki i piesek Bruno. Ugasilem pragnienie i spojrzałem w okno, częściowo zastawione przez dzieci. Zza budynków zaczął wznosić się ogromny balon ozdobiony szachownicą. Wznosił się powoli i majestatycznie nad opolskim rynkiem. Słychać było



specyficzny odgłos wpuszczanego ciepłego powietrza do wewnątrz czaszy balonu. Turyści w koszu balonowym ruszali po wyjątkową przygodę. Wybiła właśnie godzina dwunasta. Z ratuszowej wieży rozległ się hejnał. Widowisko na rynku nabierało tempa. Tyle wspaniałości, na które patrzyłem z kuchennego okna i cieszyło mnie jak i zgromadzoną przed oknem całą rodzinę. W tym momencie błysnęła w słońcu napięta lina. W całej swojej rozciągłości mieściła się w kuchennym „ekranie”. Młody chłopak o długich włosach i w spodenkach moro wszedł na tę podniebną ścieżkę. Odwrócona daszkiem do tyłu biała bejsbolówka wciśnięta na głowę, ukazywała go trochę jako akrobatę – sportowca lub deskorolkarza. Ale było w nim coś jeszcze? Był w jego ruchach, gestach zewolności, z którym się identyfikowałem. Wszystko wskazywało na to, że jesteśmy świadkami treningu lub próby przed oficjalnym pokazem. Te działania linoskoczka zgrały się w czasie z unoszącym się balonem, który zawisł nad opolskim rynkiem i rzucał cień na linoskoczka ułatwiając mu tym samym spacer nad miastem i stanowiąc niespotykane i barwne tło. Hejnał z wieży ratuszowej wchodził w końcową fazę. Powitanie prowadzącego ze sceny zakończone, zamilkły fanfary. Każdy krok tego młodzieńca, który swobodnie stąpał po linie pobudzał wyobraźnię. Wzbudzał zachwyt i przyprawiał o dreszczyk uzasadnionych emocji.

Staliśmy wszyscy zaklinając powodzenie dla podniebnego artysty.

– Mistrzostwo, mistrzostwo! – będący pod wrażeniem tata Antka i Milenki chwalił wyczyn linoskoczka. Lucy ustawiła swój papuzi peryskop, a kotka Wiki wskoczyła na parapet, podwinęła ogon i zajęła miejsce przy dziewczynce. Zaabsorbowany uwagą taty linoskoczkiem Antek, pobiegł do pokoju i przyniósł zdobyty medal na zawodach pływackich. Wracał wolniej tak byśmy mogli zauważyć wiszący na jego szyi srebrny krążek za zajęcie drugiego miejsca. Wtedy do akcji wkroczył Bruno. Wyczuł zakłopotanie Antka, bo przecież on też był mistrzem w pływaniu i w bezwarunkowym oddaniu lizał chłopca po rękach. Rodzice się zorientowali i natychmiast zaczęli pocieszać syna, a tata sprostował swoją gafę.

– Moi państwo dzisiaj mamy niewątpliwą okazję podziwiać wielu mistrzów sportu na wielkim ekranie.

Spojrzałem na dziewczynkę, która spokojnie z emanowała radością uczestniczyła w tych chwilach. Tymczasem linoskoczek rozciągnął ramiona, przystawał co jakiś czas, by złapać równowagę, a ja z rodzicami dyskutowaliśmy o nim nie spuszczać go z oka. Dziewczynka skrupulatnie wzrokiem odnotowywała swoją relację z linoskoczkiem. Momentami sprawiała wrażenie jakby chciała wyjść na tą linę jemu na przeciw. Przebierała nogami z wielkim wdziękiem. Stawała na palcach wysyłając radosne spojrzenie w kierunku linoskoczka. Milenka uczeszczała do prywatnej szkoły baletu, pomogła jej wirtualnie pójść na

spacer z ekstremalnym tancerzem w spodenkach moro, granatowych trampkach i romantycznym, wplątanych we włosach wiatrem. Czyżby w tym momencie Teatr Balszój przegrał pojedynek z linoskoczkiem? A może przeniósł swoją ogromną scenę do Opola? Rozciągnął linę i zaprosił tych dwoje do występu? Dziewczynka robiła wrażenie jakby była szczęśliwa, że za pośrednictwem linoskoczka może niemalże dotknąć swoich marzeń. Ja sam chciałem go poznać i zapytać, jak się mu żyje z tak wyjątkową pasją?

Tym czasem balon wzniósł się nieco wyżej a promienie słońca próbowały zaskoczyć czasami dzielnie wędrującego chłopca rażąc go w oczy. Naprawdę, był odważny. W prawdzie posiadał odpowiednie zabezpieczenie i z pewnością nie był to jego debiut. Jednak świadomość ryzyka, i tego że kocie łby i twarda granitowa kostka były pod spodem, kazała mu przysłonić oczy daszkiem. Pewnie bejsbolówka była stałym elementem jego ubioru. Otwarte okno kusilo ciekawską papugę Lucy. Czyżby miała ochotę wyfrunąć i usiąść ,np na napiętej linie po której idzie skupiony linoskoczek?

– Nie, niech się pan nie martwi – .Uprzedził moje obawy uspokajając pan Artur i dodał – Lucy nigdy by tego nie zrobiła żeby pofrunąć korzystając z otwartego okna. Jest grzecznym ptakiem, który trzyma się swojej klatki.

Po odgłosach westchnień i okrzyków z rynku wywnioskowałem, że linoskoczek zadziwił mocno wszystkich. Kołysał się na rozhuśtanej przez wiatr linie, łapał równowagę i krok po kroku posuwał się do końca liny. Antoni



chcąc zaimponować kreatywnością lub bardziej dziecięcym figlem zaproponował zmianę punktu obserwacyjnego i naciskał na swojego tatę, żeby wyszedł z nim na dach gdzie będą mieli lepszy widok. Pan Artur stanowczo zareagował na szalony pomysł syna, ale usłyszał kolejną prośbę do, której spełnienia z łatwością się przychylił.

– Tato, tato, proszę wystaw lunetę – Podskakując, Antek domagał się wystawienia, moim zdaniem niepotrzebnej lunety, jednak w dziecięcym przekonaniu jego prośba była zdecydowanie uzasadniona.

– Czy pan wie, że z kosmosu widać, Wielki Mur Chiński?

– Nie, nie wiedziałem, ale dzięki tobie już wiem, bo jak się domyślam, kosmonauci widzieli go z okna rakiety?

Antoś zaśmiał się, wlot wyłapując mój pomysł na wywołanie dodatkowego uśmiechu. Luneta wjechała do kuchni na niewielkiej platformie.

– Ojej ,ty zawsze musisz się wszystkim chwalić. – Mama, Ania była wyraźnie niezadowolona z wyczynu męża i pomysłu syna.

– Tak panie kominiarzu, każdy z nas ma inne zainteresowania. Mąż czeka na rozpoczęcie Tour de Pologne, sam ściga się amatorsko. Kolarstwo jest jego pasją. Jutro z opolskiego rynku startuje kolejny etap wyścigu. Ja z kolei mam swoje książki, które kocham a dzieci to chyba już pan wie! Jednak cała nasza rodzina, łącznie z babcią czyli moja mamą podziwia niebo usiane gwiazdami. Są takie noce, kiedy wyciągamy tę lunetę i oglądamy gwiazdozbiory. Wynosi nas to na orbitę. Polecam, jeśli ma pan dzieci

– Tak mam i lubimy jeździć na rowerach podobnie jak wy, bo przecież u państwa nie na darmo stoją na korytarzu?.

Do rozmowy, w wesołym stylu włączyła się babcia.

– A ja byłam u kosmetyczki i mam piękne paznokcie. – Rozbawiła wszystkich tym kabaretowym wejściem i też sama zaczęła się śmiać. – Uwielbiam kwiaty panie kominiarzu i marzy mi się piękny ogród. Ale miasto nie daje takiej możliwości. Wtedy pozostają doniczki i donice. Moim pierwszym kwiatem tutaj był fikus. Jeszcze do niedawna stał w przedpokoju. Właśnie byłam go podlać. Mieszka teraz na korytarzu na pierwszym piętrze i chyba nie jest z tego zadowolony?. Chyba nie, bo sam wiedziałem, że starszerek fikus był w depresji. Powód był chyba niebanalny, bo zapewne odczuwał brak wesołych członków rodziny i atmosfery jaką na co dzień tworzą

– Pani paznokcie wyglądają jak wiosenna rabatka obsadzona tulipanami – Ośmieliłem się taki na komplement w stosunku do pani Jadwigi na miarę okoliczności i dodałem. – Ten żywy neonowy kolor jest odpowiednikiem radości jaką pani emanuje i roztacza w tym domu.

Wizyta w tym niezwykłym mieszkaniu potwierdzała

słowa, które często słyszałem, że życie z pasją to szczęście, że ludzie mający pasję są interesujący i inteligentni. Zauważyłem też jak troszczą się o swoje zwierzęta, jakie zgrane duety tworzą z nimi. Milenka i kotka Wicki przepadały za sobą. Podobnie jak Antoś w relacji z Bruno, którzy trzymali sztamę. A za oknem wciąż coś się dzieje. Porostawiane kramy wystawiły karnawałowy asortyment. Co jakiś czas słychać było muzykę, wszędochyłskie dzieci z ich wesołymi okrzykami. Moja wizyta dobiegała końca. Pożegnałem się z babcią i rodzicami. Podszedłem do Antka.

– Często chodzę na, krytą pływalnię „Wodna Nuta. Będę cie wypatrywał na treningach.

Milence na pożegnanie zadałem zagadkę

– Jeśli zgadniesz jak mam na nazwisko, to spełni się twoje najskrytsze marzenie? – Była bystra. Musiała się zainteresować tym co babcia wcześniej podpisywała i bez namysłu wypaliła

– Nazywasz się Kot, i masz czarne futro jak moja Wicki.

– Ucieszyłem się, że tak łatwo wybrnęła z opresji

– W takim razie ,bravo! Droga do twoich marzeń stoi otworem.

Milenka z założonymi rękami ugiwała się lekko w kolanach i patrzyła na mnie. Miałem wrażenie jakby chciała coś dodać od siebie, na pożegnanie. Nie myliłem się.

– Panie kominiarzu, a to prawda, że czarny kot przynosi pecha? – Na pozór proste pytanie, ale nie w przypadku, kiedy jego autorką jest dziewczynka, kochająca właśnie czarnego kota.

Spojrzałem na linoskoczkę. Kończył ponowne przejście. Zostało mu dwa może trzy kroki. Wciąż szedł z rozstawionymi ramionami, jakby trzymał długą poziomnicę na znak równowagi. Milenka cierpliwie czekała na moją odpowiedź.

– Wiesz, obiły mi się o uszy różne historie o czarnym kocie, rzekomo przynoszącym pecha. Jednak osobiście, w to nie wierzę. Twoja Wicki jest urocza i bardzo mi się podoba, a Ty ją na pewno kochasz? Ja zawsze chciałam mieć kota i dlatego nie przejmuję się takimi zabobonami. Wicki jest czarna i kominiarz, który dzisiaj ciebie odwiedził też jest czarny i na dodatek nazywa się, Kot. Na koniec, użyjmy wyobraźni moja droga. Przypuśćmy, że posadźmy czarnego kota na jednym z ramion linoskoczkę, a na drugim kominiarza, który jak wiesz przynosi szczęście. Teraz mamy wszystko jak na dłoni. Dzięki równowadze linoskoczek przeszedł trudną drogę. Tak jak w życiu, najważniejszy jest umiar i zachowanie równowagi. Myślę, że babcia wie coś na ten temat i dokładniej ci to wyjaśni. Pamiętaj też w sierpniu o spadającej gwiazdce z nieba.

– Mam już ich kilka na swoim koncie – Odpowiedziała mądra dziewczynka.

Na pierwszym piętrze czekał na mnie fikus z niewielką kałużą wokół donicy. Babcia przesadziła z podlewaniem.

Kolekcjonerka



Gitta
Rutlege

Polska

Inspiracją do opracowania poniższej treści, stała się... dwunasta strona sierpniowej „GAZETY KULTURALNEJ” gdzie ponad, wierszem „PRZEMIJANIE” mego autorstwa zauważyłam zdjęcie albumu z metalowym okuciem, który przywołał wspomnienia.

Podczas wieloletniej emigracji, pewnego dnia wsiadłam do samochodu, aby wspólnie z zaprzyjaźnioną Amerykanką z sąsiedztwa, udać się do niewielkiej miejscowości położonej w pobliżu Nowego Yorku, gdzie miała się odbyć, ogłaszana w prasie tzw. GARAGE SALE, czyli... WYPRZEDAŻ GARAŻOWA (to jest w zasadzie symboliczna nazwa, prywatnego bazaru, które urządzone są w niektórych stanach Ameryki Północnej)

Niejednokrotnie, można tam kupić coś ciekawego w atrakcyjnej cenie.

Po dotarciu na miejsce, spacerowałyśmy po gwarnym, kolorowym bazarze i uraczyłyśmy się wspaniałą włoską pizzą z podwójnym serem, ale sąsiadka przez cały czas, była jakby „zachmurzona” i nawet nie próbowała ukryć swego braku zainteresowania, a po godzinie, ZNUDZENIE miała wypisane na twarzy. Ja natomiast, czułam się tam, jak przysłowiowa ryba w wodzie, gdyż od zawsze kochałam wszystko co zdążyła pokryć, patyna czasu.

Tym razem, zainteresowała mnie stara, poźółkła litografia z 1874 roku, przedstawiająca Indianina w pióropuszu, oraz dwa albumy, oprawione w skórę z solidnym zamknięciem z metalu, które już nadgryzł ząb czasu.

Jeden z nich, zawierał fotografie wykonane – na METALU. Wiedziałam, że była to jedna z pierwszych technik

fotograficznych. W drugim albumie znajdowały się fotografie z nieco późniejszego okresu, które wykonano na KARTONIE. Zdecydowałam się na zakup oglądanych przedmiotów, a żądane \$ 20 zapłaciłam bez targowania się.

Moja znajoma Celia, śmiała się do rozpuku. Zrobiła sobie ze mnie naprawdę niezły ubaw, ale jak na mój gust zachowywała się zbyt natarczywie

i bezpardonowo, zasypywała mnie lawiną pytań:

- Powiedz mi, po co ci te starocie ?
- Jaki sens widzisz w zakupie albumów z fotografiami osób, których nie znasz i z którymi, nigdy nie miałaś jakiegokolwiek kontaktu ?
- Czy ty, naprawdę nie wiesz, na co wydawać zarabiane pieniądze ?
- Dobrze Ci radzę, opanuj się!



Foto opisanej antycznej LITOGRAFII z podobizną Indianina w pióropuszu



Zdjęcie wykonane pierwszą z metod – na metalu, które zostało wyjęte z albumu i oprawione w ramkę

Biorąc pod uwagę, niewielką kwotę jaką wydałam na zakupy niczego nie zamierzałam jej wyjaśniać.

Litografię z 1874 roku, oprawiłam w ramkę i po latach, wyeksponowałam ją pomiędzy obrazami na jednej ze ścian mego salonu. Natomiast albumy z fotografiami FAKTYCZNIE zabierały miejsce, leżąc wiele lat na tej samej półce w szafie, tylko od czasu przesuwałam je z kąta w kąt.

Wyjeżdżając z Ameryki na kilkumiesięczny pobyt w Polsce, zabrałam te albumy z sobą, do domu w Poznaniu, gdzie utknęły w szafie kolejny raz.

W końcu z obu albumów, wyjęłam kilka zdjęć, aby oprawić je w stare ramki.

Ta nietuzinkowa pamiątka z Ameryki, do dzisiejszego dnia cieszy moje oczy.

Natomiast albumy z pozostałymi



Album ze zdjęciami – wykonanymi na kartonie w skórzanej oprawie z metalowym zamknięciem, który posiadam nadal.

fotografiami, postanowiłam sprzedać. Zaczęłam intensywnie rozglądać się gdzie i komu je zaoferować. Dobrze przemyślane ogłoszenie, zamieściłam w kilku różnych miejscach, wraz z dokładnym opisem posiadanych zdjęć i albumów, a następnie czekałam, czekałam i czekałam. Już sądziłam, że NIGDY się nie doczekam żadnego zainteresowania, bowiem w międzyczasie dowiedziałam się z prasy, że NIKT z kolekcjonerów nie chciał kupić najstarszej fotografii świata, która została dostrzeżona i zakupiona na Pchlim Targu w Paryżu gdzie i ja bywałam.

Zapewne NIE BEZ ZNACZENIA BYŁA CENA WYWOŁAWCZA tej niewielkiej, bo zaledwie 5 centymetrowej STAREJ FOTOGRAFII. Wynosiła ona niemal MILION EURO.

Moja oferta sprzedaży, była ZDECYDOWANIE BARDZIEJ PRZYSTĘPNA, więc nie traciłam nadziei, że doczekam się na kolekcjonera, który będzie poważnie zainteresowany zakupem. Nie ukrywam, iż czekałam bardzo długo, ale w końcu doczekałam się.

Tylko jeden z posiadanych albumów z fotografiami wykonanymi na metalu, udało mi się sprzedać na tyle korzystnie, że bez problemu, wystarczyłoby na zakup samochodu średniej klasy, ale miałam już wykupiony bilet powrotny do USA i nie mogłam przesunąć terminu lotu. W tej sytuacji, zakup samochodu zdecydowanie nie był mi potrzebny. Drugi album, niemal pół wieku nadal jest moją własnością, ale o jego losie, już zadecydują moi spadkobiercy.

I tak niegdyś wydane \$ 20 okazały się jedną z moich najlepszych inwestycji, jakich dokonałam w życiu. Dwie inne, niemniej korzystne opisałam w książce mego autorstwa zatytułowanej „BLASKI”

Z nieskrywaną dumą, napisałam do Celi opisując wydarzenia związane ze sprzedażą albumu. W końcu Celia zmieniła zdanie i doceniła moją decyzję o zakupie tych antycznych przedmiotów. Otrzymałam od niej zarówno przeprosiny, jak i bardzo miłe GRATULACJE.



To zdjęcia wykonane na kartonie, które wyjęłam z albumu, oprawiłam w odpowiednie ramki i nadal ozdabiają moją ścianę.

List do Szolema Alejchema



Bolesław Bieniasz

Belgia

Powodem do powstania tego listu była chwila nieodpartej potrzeby pisania. Wznowienie rodzinnych kontaktów. Ludzka natura plotek i niedomówień. Perypetie pewnego muzyka. W końcu, odnalezienie się we własnych listach.

Szolemie, drogi Przyjacielu,

odczuwam nieprzemądaną potrzebę napisania kilku słów do Ciebie. Przede wszystkim pragnę podzielić się z Tobą dewizą przypominającą, że « nigdy nie wiadomo, co się nam przydarzy ». Żyjemy przecież w świecie niespodzianek, oby tylko korzystnych i wyłącznie miłych. Jedną z nich jest powrót do odległych wspomnień. Jeden rok przelatuje jak drgnienie powieki. Jeżeli jednak bez jasnych powodów kontakt się urywa lub przechodzi, powiedzmy, w stan zawieszenia, nagle odczuwamy atmosferę schyłku. Wypada więc czym prędzej nadrobić czas stracony. Dlatego też – jak widzisz – od razu chwytam z pióro.

Zacznę od tego, że ostatnio więcej czytuję niż piszę, i że dzieją się rzeczy wprost niesamowite. Wyobraź sobie, że po czterdziestu latach nawiązałem kontakt z pewną kuzynką, a właściwie kontakt nawiązał się sam. O bieżących sprawach udało nam się niewiele rozmawiać. O tym, co się ze mną

dzieje moja kuzynka dowiedziała się wcześniej od innej kuzynki. Na szczęście ktoś mnie ostrzegł w porę, by zbyt pochopnie nie mówić o sobie, gdyż – zważywszy na długie lata ciszy – najmniejsze słowo zdolne jest spowodować niepowstrzymaną lawinę pytań i dociekań. Ktoś już ją nawet zapoczątkował bez złych intencji. Jedna kuzynka wplotła między wiersze jakiś mały drobiazg właśnie na mój temat, a jej kuzynka – jako, że wszystko przebiega między kuzynkami, tyle że z dwóch różnych pokoleń – ubrała ten detal w odświętne stroje, tworząc historyjkę jakby wyssaną z palca. Zupełnie się nie rozpoznałem w swym nowym portrecie. Czy można z Pigmeja zrobić Eskimosa pod byle pretekstem, że np. na dwóch zestawionych z sobą fotografiach jeden i drugi – mimo że osobno – łapie się za głowę ?

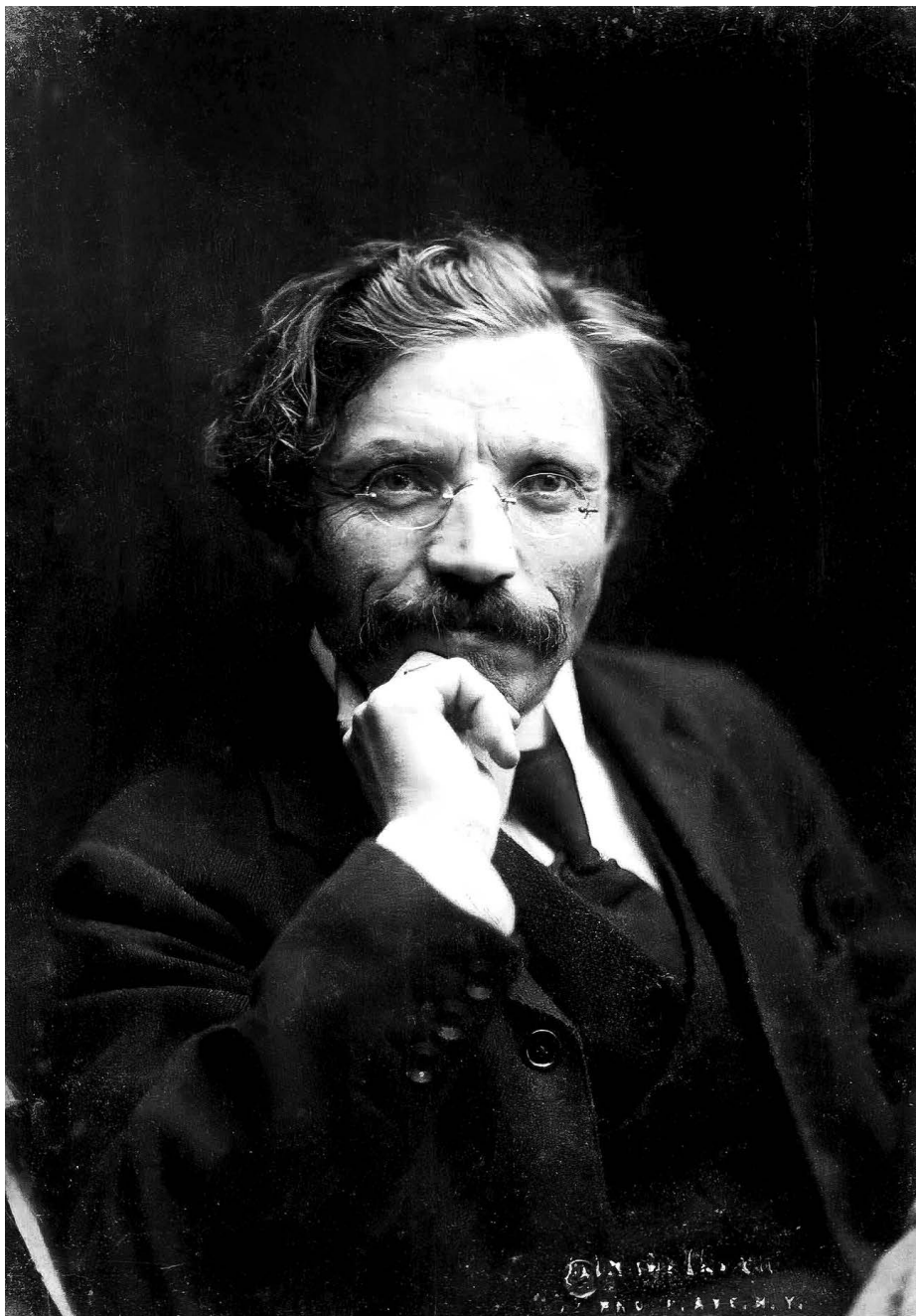
W rozmowie z kuzynką nic mnie z ostatnich wydarzeń nie zaintrygowało. Kierując pogawędkę ku przeszłości dowiedziałem się jednak nowych szczegółów na temat pewnego muzyka, przyszłego emigranta, o którym od lat przeszło pięćdziesięciu, nie wiedząc dlaczego, myślę dosyć często. Żeby wyemigrować trzeba mieć powód, przynajmniej jeden, którego otoczenie, gubiąc się w domysłach, najczęściej nie zna. On musiał mieć ich więcej. To, co tę półprawdę nieco dopełniło, zrobiło z niego kogoś odmiennego. Zupełnie jakbym niegdyś poznał innego człowieka. Czy przeżyłeś w swym życiu coś podobnego?

Bardzo dawno, w moich nastych latach, ktoś mnie mu przedstawił w przerwie koncertu, za kulisami i doszło oczywiście do krótkiej rozmowy. Uśmiechnął się do mnie prawdziwym uśmiechem. Jego koledzy stali nic nie mówiąc. Dziś ludzie zachowują się nieco inaczej, co nie oznacza, że angażują się w cokolwiek. Na wszelki wypadek zaznaczając od samego początku dodam, że muzyk ten zafrapował mnie swoim wyglądem zupełnie odstającym od otoczenia. Znałem go potem z krążącej o nim legendy. Uchodził za mistyka o niepospolitym talencie muzycznym. Tajemnicza aura ludzkich sylwetek działała na mnie zawsze ze zdwojoną siłą. Potem dowiedziałem się o pewnym detalu z listu, który ten muzyk wysłał zza granicy do swego znajomego. Nie wiem czy adresat czegoś nie *upiększył*, by mógł sam zaistnieć, względnie odegrać wyjątkową rolę. W każdym razie – sądząc po ostatniej rozmowie z kuzynką – nic w tej historii do siebie nie pasuje. Myślę więc sobie, że albo ktoś tę domniemaną prawdę porządnie wykoślawił, albo kłóć się z sobą jej niecisłe wersje. Ktoś tutaj *kręci jak szewc kopytem*. Nie zapominajmy, że były to czasy jeszcze wczesno powojenne. Ówczesna rzeczywistość mieszała nowe zdarzenia z niedawnym horrorem. Teraz, druga część *prawdy* dotyczącej jego perypetii po prostu mną wstrząsnęła. Wyjechał, by wpaść – jak się mówi – *z deszczu pod rynnę*. Założyłbym się z Tobą o *funt złotych kopiejek*, że wiele z tego wszystkiego nie rozumiesz, doceniając moją dyskrecję.

Uwierz mi jednak. Poza sympatią o zabarwieniu trudnym do określenia i jedną krótką rozmową za kulisami, nigdy nie miałem z nim nic wspólnego. Sądzę mimo wszystko, że nie był to czczy przypadek pozbawiony znaczenia. Pewne sprawy, pod wpływem bliżej nieznanego fluidu, wychwytuje się w sposób co najmniej niepojęty, przy czym intuicja dostarcza nam doznań przekraczających racjonalny odbiór. Instykt jest przecież szczególnym rodzajem inteligencji.

Napisałem powyżej, że nawet *więcej czytam*. Zaraz Ci wyjaśnię co miałem na myśli. Pewna bliska mi osoba – i tu także nie zgrzeszę brakiem dyskrecji – z którą koresponduję niemal od momentu kiedy nauczyłem się pisać, została zmuszona do przeprowadzki. Zaczęła więc likwidować co się tylko dało – meble, dywany, stopy ubrań i książek, a także góry papierów rozmaitego asortymentu. Nie zniżajmy lotu porównując wycinki z gazet z korespondencją. Powiadomiony o zwijaniu zagli, bez cienia urazy i bez krzty wahania przyjąłem na powrót wysłane do niej listy, ułożone w teczkach według roczników i związane starannie kolorową wstążką. Wiele z nich, niezbyt interesujących, po prostu wyrzuciłem, a pozostałe stanowią moją obecną, zaskakującą lekturę.

Listy te, pisane – by nie skłamać – spontanicznie, bynajmniej nie ograniczają się wyłącznie do spraw bieżących i rodzinnych plotek. Pełne są spostrzeżeń, refleksji, dygresji, pytań, wahań, wstawek i cytatów. Zaakceptuj jedno krótkie porównanie. Wielokrotnie zdarzyło mi się przeczytać tę samą książkę, za każdym razem znajdując w niej coś nowego. Pomędzy mną i autorem panował mimo to naturalny dystans. Natomiast czytanie własnych wynurzeń jest sprawą diametralnie różną. Wyrażone emocje pochodzą z doznań odczutyh osobście. Czytając dawny list przeżywa się je na nowo, odkrywając równocześnie to, o czym się zupełnie, ale to zupełnie, zapomniało. To coś, tak bardzo bliskie, choć wyrwane z pamięci, chwilowo zaprzepaszczone, wynurza się nagle niczym nowa wyspa, bulwersując pozornie jasny obraz własnej tożsamości. Jak mogłem ot



tak zapomnieć o sobie samym? *Odzyskać dawne listy, to odzyskać przeszłość.* Ciekaw jestem w jaki sposób prowadziłeś moją korespondencję i jak odbierałeś otrzymywane epistoły.

Interesującym dla mnie pozostaje również inny fakt, że piszę w tych listach również na Twój temat. Dowiesz się o tym wkrótce. Często myślę o Tobie i regularnie powracam do Twych książek

Twój niezwykle korespondent

PS. Aby nieco rozpogodzić sprawy dotyczące muzyki i muzyków, opowiem Ci doskonałą anegdotę.

Pewna kobieta spotyka swą sąsiadkę i zaintrygowana mówi, że właśnie widziała jej męża niosącego skrzypce.

– To nic szczególnego, odpowiada sąsiadka. Mój mąż jest muzykiem i w każdy czwartek występuje na koncercie symfonicznym.

– Doprawdy niesłychane. A co pani mąż robi cały tydzień?

Bolesław Bieniasz

Śląski nieboskłon

Pamiętam jak którejs niedzieli zawędrowałam z Tatą za rękę do wielkiego dziwnego obiektu w Wojewódzkim Parku Kultury. Niemalże utonęłam w wielkim bordowym fotelu lekko nachylonemu do tyłu, bo ważny był pół okrągły sufit. Kiedy światło zgasło złapałam Tatę za rękę i tak trzymałam go cały seans. To co zobaczyłam było czymś niesamowitym. Nie mogłam wówczas pojąć gdzie jestem i co oglądam.

– Jak to widzę wszechświat i poszczególne kropki są oddalone od siebie o miliony lat, a ziemia jest jedną z nich w tym wszechświecie, taką kropką?

Długo układałam to wszystko w głowie żeby się pomieściło. Czułam się jakbym przeniosła się do zupełnie innego świata bez ograniczeń przestrzennych i czasowych,

w którym można zrobić wszystko o czym się tylko zamarzy czas potem znacznie zweryfikował mój zachwyt Planetarium, ale tchu mi w nim brakowało co chwilę. Po tej wizycie we wszechświecie zaczęły się pytania,

– Co z czego jest zrobione, a skąd się to wzięło i kto to zrobił?

To były nasze z Tatą wieczorne nieliczne, ale ważne rozmowy, które wspominam z czułością do dziś.

Zacznijmy jednak od początku. Na podstawie artykułów i źródeł, które znalazłam postaram się przybliżyć świat naszego, a może nie tylko naszego, nieboskłonu.

W Wikipedii czytamy: Planetarium – miejsce lub urządzenie (projektor gwiazdowy) służące do odtwarzania wyglądu nieba w różnych szerokościach geograficznych oraz

ruchów ciał niebieskich, a także zespół urządzeń i obiektów przeznaczonych do nauczania i popularyzacji astronomii.

Pierwotnie planetarium oznaczało aparaturę służącą do wyświetlania obrazu nocnego nieba na półkulistym ekranie. W nowoczesnym znaczeniu stosuje się słowo planetarium dla określenia obiektu, który jest wyposażony w salę i urządzenia do projekcji nieba oraz innych elementów pełniących różnorodne funkcje popularnonaukowe i edukacyjne, m.in. obserwatorium astronomiczne, bibliotekę, sale prelekcyjne i sale wystawowe. Chociaż zasadniczo przez planetarium rozumiemy planetarium stałe (stacjonarne). Warto jednak wspomnieć, że od kilkunastu lat na świecie coraz liczniej pojawiają się planetaria przemieszczalne (mobilne), organizujące pokazy nieba



w specjalnym rozkładanym namiocie, przyjmującym po nadmuchaniu kształt sferycznej kopuły imitującej nieboskłon. Jakość tych pokazów zazwyczaj nie dorównuje jakości seansów prezentowanych w planetariach stacjonarnych, ale ich zaletą jest możliwość rozstawienia planetarium w typowej sali gimnastycznej w szkole. W tym wypadku planetarium przyjeżdża do uczniów. Również w Polsce są osoby prowadzące taką działalność edukacyjną i popularyzatorską. W 2011 r. istniało w Polsce 30 planetariów, z tego 20 to planetaria stacjonarne, zaś 10 – przenośne.

Interesujące jednak jest jakie były początki Planetarium Śląskiego w Chorzowie. Do dzisiaj Planetarium Śląskie należy do grona prestiżowych budynków będących trwałym znakiem w przestrzeni Parku a także w przestrzeni całego regionu.

Inicjatorem projektu realizacji Planetarium było Polskie Towarzystwo Miłośników Astronomii z siedzibą w Krakowie, którego jednym z statutowych zadań była popularyzacja wiedzy astronomicznej poprzez zakładanie ludowych obserwatoriów astronomicznych w dużych ośrodkach miejskich. Przedstawiciele Zarządu Głównego wspomnianego Towarzystwa wystąpili w 1952 roku do Komitetu Budowy Wojewódzkiego Parku Kultury z propozycją budowy takiego obiektu na terenie zakładanego wówczas parku. Jednak dopiero ustanowienie przez światową Radę Obróńców Pokoju roku 1953 jako Roku Kopernikowskiego stało się bezpośrednim bodźcem do podjęcia konsekwentnych działań dla realizacji tego projektu.

Organizacyjnie Planetarium powstawało jako placówka dydaktyczna Pałacu Młodzieży w Katowicach, i to Komitet Budowy Pałacu Młodzieży zgłosił do Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego w Warszawie wniosek inwestycyjny na budowę planetarium i obserwatorium astronomicznego na rok 1953.

Zanim przystąpiono do prac projektowych skoncentrowano się na dwóch aspektach: estetycznym, czyli wyborze lokalizacji dla podkreślenia monumentalności obiektu oraz kwestiach bezpieczeństwa wynikających z prowadzonej w okolicach Parku eksploatacji górniczej. W pierwszej kwestii przedstawiciele Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii i Komitetu Budowy Parku Wojewódzkiego jednoznacznie uznali za stosowny wybór

najwyższego wzniesienia w Parku, czyli Góry Parkowej, liczącej w najwyższym punkcie 320 m n.p.m. W drugiej kwestii niezbędnym okazały się ekspertyzy górnicze.

W oparciu o pozyskane opinie prof. dr inż. Franciszka Wasilkowskiego oraz prof. dr inż. Witolda Budryka koniecznym okazało się zastosowanie specjalnego fundamentowania dla kopuły w postaci skrzyni żelbetowej niwelującej ewentualne ruchy terenu. Kolejnym etapem programu budowy Planetarium było opracowanie założeń technicznych projektu obiektu uwzględniającego również szczegółową organizację przestrzeni parkowej wokół budynku. Zadanie to powierzono krakowskiemu architektowi, wychowankowi Wydziału Architektury Politechniki Lwowskiej, inżynierowi Zbigniewowi Solawie, który w plastyczny sposób urealnił oczekiwania swoich zleceniodawców. Zgodnie z pierwotną koncepcją autora projekt oparto na układzie pierścienia, w którym centralna bryła została przykryta kopułą i otoczona trzema wieżami obserwatorium. Największa i najmocniejsza część projektowanej bryły została usytuowana w osi alei dojazdowej, a podejście do części centralnej, szeregiem stopni, które potęgowały wrażenie dominaty w Parku. Architektoniczne oddziaływanie obiektu wspomagało odpowiednie ukształtowanie ogrodowe. Ten fragment Parku miał spełniać równocześnie funkcje dydaktyczne poprzez wkomponowanie takich elementów jak zegar słoneczny, amfiteatr dla obserwacji gwiazd pod gołym niebem czy park rzeźb.

Wewnątrz budynku powstał reprezentacyjny westybul, foyer biegnące dookoła planetarium, bibliotekę z oddzielną czytelnią, pomieszczenia naukowo-badawcze, pomieszczenia administracyjno-biurowe oraz pomieszczenie techniczne. W przylegających do głównego budynku wieżach zaplanowano również stację seismograficzną (wieża A), muzeum astronomiczno-geologiczne (wieża B) oraz obserwatorium astronomiczne (wieża C).

Centralnym pomieszczeniem była sala pokazowa z miejscem dla 400 osób, na środku której umieszczone zostało najważniejsze urządzenie Planetarium: najnowocześniejszy w tym czasie projektor wyprodukowany przez Zakłady Carla Zeissa w Jenie. Pozwalał on wyświetlić na sferycznym niebie ponad 8000 gwiazd. Aby zamówić taką aparaturę

konieczna była zgoda Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego na przyznanie środków finansowych, a czas realizacji zamówienia wynosił około dwóch lat. Oprócz projektora w Zakładach Zeissa zamówiono również refraktor, który później wykorzystano w obserwatorium.

Nie wszystkie założenia pierwotnego projektu udało się w końcowym efekcie zrealizować. Powstała jedynie jedna wieża, w której znajduje się obserwatorium astronomiczne, ale nie zastosowano w niej ruchomej podłogi. Części tego projektu uruchamiano etapami: stację seismologiczną uruchomiono w 1959 roku, a obserwatorium klimatologii i meteorologii w 1963 roku.

Okrojenie zamysłu projektanta, spowodowane było różnymi czynnikami, nie wpłynęło na umniejszenie wartości dydaktyczno-naukowe instytucji, powstała placówka, która przez kolejne dekady przybliżała mieszkańcom regionu do gwiazd.

4 grudnia 1955 roku miało miejsce oficjalne otwarcie Planetarium Śląskiego w Wojewódzkim Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie. Był to pierwszy i największy tego typu obiekt w Polsce, którego kształt architektoniczny wyraża się do dziś w sposób czytelny i jest zapamiętywalne jego przeznaczenie. Jest także jednym z pierwszych budynków na świecie tak silnie inspirowanych kosmosem, wyglądem planet i układem astralnym.

Warto jeszcze dodać, że Poczta Polska wyemitowała 15 września 1966 r. znaczek pocztowy przedstawiający Planetarium Śląskie o nominale 1,55 zł, w serii Turystyka. Autorem projektu znaczka był Cz. Kaczmarczyk, ryt wykonał B. Brandt. Znaczek wydrukowano techniką stalorytu, na papierze niepowlekanym, w nakładzie 102.020.100 szt. Pozostawał w obiegu do 31 grudnia 1994[4].

Mamy jednak czerwiec 2022. Od dłuższego czasu trwa zasłużony remont i unowocześnianie obiektu. Wszyscy niecierpliwie czekają i dopytują kiedy nastąpi otwarcie „nowego Planetarium”, bowiem od połowy 2018 r. trwa modernizacja i rozbudowa Planetarium. Prace planowano ukończyć w 2021 r. Ostatecznie zostały ukończone w połowie 2022 r.

Placówka, przeszła kompleksową modernizację i sporą rozbudowę stała się oficjalnie największym tego typu centrum w Polsce,

a także jednym z najbardziej nowoczesnych i atrakcyjnych parków naukowych w Europie.

Planetarium zostało powiększone o 2500 metrów kwadratowych. W nowym budynku znajduje się obecnie miejsce dla ekspozycji stałej składającej się z około 30 stanowisk dydaktycznych, nowych sal wykładowych oraz pracowni. Obok budynku powstała wieża widokowa. W bezpośrednim sąsiedztwie budynku zlokalizowana została ekspozycja zewnętrzna „Eppur si muove” prezentująca różne aspekty ruchu obrotowego.

Konkurs na projekt rozbudowy Planetarium – a teraz i dodatkowego określenia Śląskiego Parku Nauki wygrała firma architektoniczna Consultor Sp. z o.o. z Poznania.

W zabytkowym budynku Planetarium (wpisanym do rejestru zabytków w 2013) została zmodernizowana główna sala projekcyjna, wymienione zostały fotele, ekran, system dźwiękowy oraz projekcyjny. Projektor Zeissa, który był wykorzystywany przez ostatnie 62 lata został wyeksponowany w nowym budynku. Jego miejsce zajął hybrydowy system projekcji. Gwiazdy są teraz prezentowane za pomocą analogowego projektora, natomiast dzięki systemowi cyfrowych rzutników pracujących w rozdzielczości 8K można wyświetlać

dowolne ruchome obrazy na sferycznym ekranie. Zmieniony został także profil podłogi na amfiteatralny, by salę można było wykorzystywać także do konferencji, sympozjów oraz koncertów.

Ekspozycja stała znajdująca się w nowym budynku jest obecnie poświęcona trzem dziedzinom nauki: sejsmologii, meteorologii oraz astronomii. Osoby dzisiaj odwiedzające Planetarium będą zwiedzały ekspozycje w niewielkich grupach wzdłuż logicznie skonstruowanych ścieżek tematycznych w towarzystwie opiekuna. Ekspozycje interaktywne są innowacyjne i niespotykane w innych parkach nauki, są to m.in.:

✦ Stanowisko z przekrojem Ziemi – dolna połówka przeciętej poziomo kuli o średnicy niemal 2 metrów. Powierzchnia przekroju to jednocześnie ekran dla multimedialnego projektora pokazującego ruchomy i interaktywny obraz wnętrza naszej planety.

✦ Platforma z makietą miasta – model miasta z budynkami o różnej wielkości prezentujący skutki trzęsienia ziemi o różnych częstotliwościach. Podczas prezentacji budynki ulegają zniszczeniu. Następnie są błyskawicznie składane w całość przez ramie specjalnego robota.

✦ Pokoje klimatyczne – pomieszczenia z różną temperaturą i wilgotnością prezentująca w jaki sposób poziom wilgotności w klimacie gorącym i zimnym wpływa na odczuwanie temperatury.

✦ Kolumna pogodowa – kilkumetrowa kolumna ze szkła lub poliwęglanu, w której w ciągu kilkudziesięciu sekund można wytworzyć mgłę, tornado, chmurę oraz opad deszczu lub śniegu.

✦ Lot w kosmos – pomieszczenie będące symulatorem lotu kosmicznego wyposażone w ruchome fotele, z których każdy może wykonywać ruchy we wszystkich stopniach swobody. Każdy z widzów zostanie wyposażony we własne okulary VR.

Wszystko to jest niesamowicie interesujące. Chciałabym pójść tam ze swoimi wnukami, którzy zdecydowanie więcej wiedzą dzisiaj na temat wszechświata niż ja kiedyś i inaczej będą odbierać wszechświat?

Planetarium czeka i zaprasza. Na pewno trzeba mu poświęcić kilka godzin, żeby zobaczyć wszystko i jeszcze raz tyle żeby zrozumieć.

Opracowała Halina Godecka



W metrum haiku

z krajobrazu pojęć



Bolesław Bieniasz

Belgia

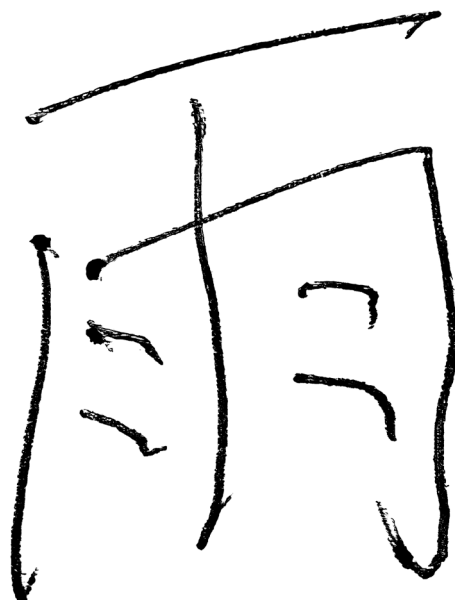
Kwitnąca jabłoń
Rozwibrowane struny
Powiew radości

Mknie babie latoa
– latające dywany
Myśli ulotne

Kroczyś zgubiony
W ćmie wirujących liści?
Oprzyj się burzy

Odwieczne śniegi
Jęk szeleszczących liści
Okraż trudności

Tlący się płomień
z pobrzeży dni i nocy
Odrodzone sny



Niepewne kroki
Ponad ścieżką nieboskłon
Odnajdź swą gwiazdę

Tłąca się świeca
na szczytach Manhattanu
Echo tradycji

Bluszcz pnie obrasta
Zamęt, wrzawa, gąszcz ulic
Igła busoli

Ślady na śniegu
Niezatarte wspomnienia
Punkt odniesienia

Bańki mydlane
Dreszcz nadchodzącej wiosny
Ułuda jawy

Robert

Stefan Godecki

Niemcy

Roberta nigdy nie poznałem osobiście.

Mogło wynikać to z faktu, że urodził się w daleko w Teksasie w USA w miasteczku, które nikt by pewnie nie znalazł na mapie gdyby nie fakt, że urodziła się tam również Janis Joplin, a może też dlatego, że dzielą nas dwie generacje. Robert był o rok młodszy od mojej mamy i w zasadzie nie miałem żadnej potrzeby interesować się jego losem. Do 25 roku życia nawet nie wiedziałem, że istnieje. Nie każdy przecież musi znać Roberta. Zresztą Robert też nie wiedział, że istnieję i jestem przekonany, że z tego powodu nie był smutny.

Czas mijał. Ja zacząłem rozwijać swoje zainteresowania od przedmiotów płaskich do bardziej przestrzennych. W tym pomogły mi studia na architekturze, o której niektórzy mówią, że jest wypełnieniem pustej przestrzeni liniami i krzywiznami. To był chyba bardzo naturalny mój rozwój i w sumie bardziej zaczęły mnie interesować te krzywizny i wypukłości w rysunku niż linie proste. Nie miałem jednak zbyt wiele czasu żeby te zainteresowania dalej rozwijać, chociaż zawsze przyciągały moją uwagę. Dopiero po wielu latach wróciłem do tych przestrzennych fascynacji.

W tym czasie Robert też rozwijał swoje zainteresowania. Można powiedzieć, że w czasie gdy ja stawiałem pierwsze kroki na świecie, Robert zrobił coś, co nazwał „Monogramem”. Zresztą ta wiadomość nie zrobiła na mnie jakiegoś specjalnego wrażenia i życie toczyło się dalej. Nasze drogi potrzebowały jeszcze dużo czasu, szczególnie z mojej strony, żeby się gdzieś w świecie skrzyżowały.

Przez czysty przypadek w pracy zawodowej zająłem się małym wycinkiem architektury, którą w późniejszym czasie mój promotor na uczelni nazywał „sztuka wystawiennicza”, co miało konkretnie

oddzielać moje artystyczne działania od jego architektonicznych poczynań. Takie pojęcie jedynie w języku polskim i nie ma na razie odpowiednika w innych językach, ale tłumaczyć tego profesorowi nie wypada i nigdy bym się nie ośmielił.

Ta praca dawała mi jednak przez kolejne 35 lat ogromnie dużo przyjemności. Przy tej okazji zwiedziłem świat za pieniądze moich klientów. Pracowałem w miejscach, które dla innych były miejscami urlopowymi, albo gdzie odbywały się ważne dla świata wydarzenia i gdzie moja sztuka była akurat potrzebna. W tych podróżach poznałem fantastycznych ludzi, którzy pokazali mi to czego nie mogłem nauczyć się w szkole czy na studiach.

Pamiętam mój pierwszy kontakt z grupą włoskich designerów po wygraniu konkursu na prezentacje firmy Olivetti. Chodziło

o projekt stoiska wystawowego o powierzchni 3000 metrów na dwóch poziomach. Mieliśmy się spotkać w celu ustalenia detali wspólnej pracy. Przyszedłem jak na architekta przystało z wielką tubą, pełną rysunków. Moi włoscy koledzy mieli ze sobą jedynie okazałych rozmiarów albumów z kolorowymi tablicami. Pomyślałem, że będzie to trudne zadanie żeby stworzyć coś przy pomocy tych tablic. Okazało się, że we Włoszech praca twórcza rozpoczyna się od espresso i kolorów, a nie od czarnych linii na papierze decydujących o jakiejś kubaturze. Potem spotykaliśmy się latami i zawsze bardzo się cieszyłem na obejrzenie zawartości ich kolorowych teczek, które nauczyły mnie, że fioletowy z zielonym i żółty z fioletowym, to świetne pary kolorystyczne.

W Londynie poznałem Marcela Wandersa, który dzisiaj jest gwiazdą o światowej





sławie. Wtedy w czasie montażu na wystawę „100% Design” wspomagaliśmy siebie wzajemnie brakującymi nam materiałami. W czasie tych moich lat pracy poznałem kilku królów, wielu znanych polityków i wspaniałych architektów, które różne projekty stawały się ikonami dla następnych pokoleń adeptów w tym zawodzie.

Jestem pewien, że w czasach moich ciągłych podróży nasze drogi z Robertem mogły się ciągle krzyżować, jeśli nawet tylko w powietrzu. Często bowiem bywało tak, że gdy ja gdzieś wylądowałem, to Robert już tam był i poleciał dalej, albo właśnie miał przylecieć gdy ja już odlatywałem dalej. O jego zamiarach często dowiadywałem się ze słupów ogłoszeniowych gdzie dużymi literami na

plakacie napisane było jego imię i to była informacja, która mówiła mi gdzie mam go teraz szukać. Początkowo lekceważyłem te informacje, ale gdy po latach Robert wyrósł na prawdziwego „ptaka zakrecacza”, który zakręcił całą generacją młodych twórców w nowym kierunku w sztuce zacząłem, powoli zacząłem iść jego tropem na spotkanie z nim, do którego byłem bardzo pobieżnie przygotowany.

Dla mnie był to moment w życiu, kiedy znalazłem trochę czasu dla siebie i zacząłem mieszać farby w poszukiwaniu właściwych kolorów. Nie miałem jakiejś sprecyzowanej koncepcji. W między czasie odwiedziłem wystarczająco dużą ilość kościołów, muzeów, galerii na świecie, żeby wyrobić sobie opinię

na temat tego co mi się podoba. Moje oko zatrzymywało się prawie zawsze na obrazach i przedmiotach, które nie miały nic wspólnego z przeszłością i powstały współcześnie.. Zaliczały się do kategorii sztuki, której nazwy jeszcze nie do końca sprecyzowano. Tak więc malarstwo holenderskie, średniowieczne i to historyczne oraz pochodne, przestały mi zabierać czas. Ostatnie meblowe antyki zostały też w moim rodzinnym domu, który opuściłem 40 lat wcześniej. Bliskie stały mi się te przedmioty i obrazy, które swoją abstrakcją tworzyły nowe wartości i często wprawiały mnie w zdumienie. Były to między innymi obrazy, w których nie do końca było wiadomo gdzie jest góra, a gdzie dół i bez względu na sposób zawieszenia

można w nich było znaleźć coś nowego. Te stałe odwiedziny świątyni kultury i sztuki skłoniły mnie do podjęcia prób szerszego wykorzystania własnego talentu.

W początkowej fazie mojej twórczości malarskiej nie zauważyłem dużego zainteresowania czy podziwu dla moich dzieł. Pewnego razu przypadkowo poznałem wspańskiego młodego artystę, który był świeżo po akademii sztuk pięknych i malował w sposób, który mi się podobał. Prezentował nową koncepcję w malarstwie figuralnym. Pewny ruch pędzla i szybka kreska, to było to. Brakowało mi jego techniki, ale chciałem spróbować swoich sił. W bardziej nieśmiałej formie zacząłem się mierzyć z figurami. Ten znajomy malarz dał mi dobrą radę patrząc na to co robię.

– Stefan, sztuka, to nie jest kładzenie papy na dachu.

To było jak cios w serce ostrym nożem, choć zdawałem sobie sprawę, że do perfekcji jest mi jeszcze daleko. Ta uwaga mistrza mimo wszystko jeszcze bardziej zachęciła mnie do pracy nad sobą i „walki” o figury. Zauważyłem po pewnym czasie, że moje figury zaczęły być ładne, ale na osiągnięcie takiego zadowolenia poświęciłem im dużo czasu. Tego nie miałem od dziecka, ale nie po to malowałem szybko schnącym acrylem, żebym poświęcał czas na malowanie ładnych obrazków. Nigdy nie chciałem malować „ładnych obrazków”. Od tej tematyki byli inni uzdolnieni, którzy malowali tylko „ładne obrazki”. Tymczasem moje obrazy pomimo, że nieraz udane, ciągle wydawały mi się płaskie.

– Co zrobić, aby nabrały nowych wymiarów, trójwymiarowości, o której zawsze myślałem???

Zastosowanie perspektywy renesansowej, nie było dla mnie odkryciem, które miało poprawić moje samozadowolenie.

Robert też miał te wątpliwości i odpowiedział sobie na to pytanie prawie 50 lat wcześniej. Przyszedł wreszcie moment, że mógłbym spotkać się z Robertem gdyby na drodze nie stanął mi wypadek między Essen a Kolonią, który zamienił w fiasko ten ważny dla mnie termin. Spóźniłem się o godzinę i po Robercie pozostało tylko puste miejsce na parkingu i kilka kolorowych rzeczy. Te kolorowe były jednak tym czego szukałem.

– Jeśli Robert mógł je wykonać, to dlaczego nie ja? Miały one wymiar, wolum, kolor, co w jakiś szczególny sposób było mi bliskie i symboliczne. Na moment zapomniałem o malowaniu i zająłem się kształtowaniem powierzchni szklanych, które poddawały się w wysokich temperaturach kształtom z moich marzeń. Początkowo nie potrafiłem opanować całego procesu kształtowania szkła, który trwa godzinami, w którym moją możliwością oddziaływania na nie było tylko 6 minut w tzw. czasie „płynięcia szkła”. Z czasem udało mi się doprowadzić do tego, że dzięki dodatkowej obróbce szkło zamieniało się w lustro. Efekt okazał się piorunujący. Powstawały obrazy 3D, które były malowane światłem, a nie farbami. Były to procesy bardzo kosztowne. Na te unikatowe sztuki mogli sobie pozwolić ci, którzy byli tymi dziełami tak samo zachwyceni jak ja i do tego nie bardzo zwracali sobie głowę pieniędzmi. To odkrycie wyzwoliło we mnie ducha konstruktora, który starał się zoptymalizować naturalne procesy techniczne, żeby efekt końcowy nie był przypadkowy, a przewidywalny od samego początku całego procesu tworzenia. Kosztowało mnie to dużo pracy, czasu i prób, które mogłem wykonywać tylko w nocy, gdy piece, które były mi potrzebne nie były wykorzystywane do regularnej produkcji w ciągu dnia, a energia elektryczna, która była konieczna, była w nocy znacznie tańsza. Robiłem dużo zdjęć, które śmiało można było nazwać obrazami, bo w tych samych obiektach, ale w innym oświetleniu i otoczeniu w lustrach odbijały się zawsze coś innego. Poprzez zniekształcenie powietrzni szkła w procesie termicznym o odbiciu jaki znamy z płaskich luster nie mogło być mowy. Wszystkie linie proste odbijały się jako krzywe lub koliste. Przedmioty przybierały nowe formy. Efekty znane mi od dziecka z wesołego miasteczka zaczęły żyć nowym artystycznym życiem. Moje lustra wymagały prezentacji w wielu miejscach, a ja znowu zacząłem gonić czas w podróży z miejsca na miejsce i spędzając puste godziny na lotniskach.

Pewnego dnia w maju 2008 roku, czekając rano na kolejny lot, wpatrywałem dość bezmyślnie w monitor telewizora z najnowszymi informacjami o świecie. Pierwszą wiadomością, którą zarejestrowałem była informacja

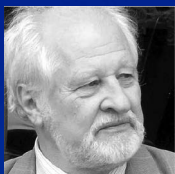
o śmierci Milтона Ernesta „Roberta” Rauschenberga.

Wówczas zdałem sobie sprawę, że Roberta nigdy już nie spotkam. Było mi przykro, bo czułem, że się coraz lepiej rozumiemy i ta przełomowa jego praca, która zawojowała świat zatytułowana „Monogram” zaczęła być dla mnie teraz bardziej zrozumiała niż przed laty gdy zobaczyłem ja pierwszy raz w muzeum sztuki nowoczesnej w Sztokholmie. Przedstawiała ona wypchaną kozę – Angorę, którą Robert kupił na jakimś targu staroci. Jej grzbiet był niejako opasany oponą samochodową, która była dla niej jej „kołem ratunkowym” i stała się tym kołem na jakimś obrazie. Kozka i opona są ze sobą tak samo związane jak określenie Imienia i Nazwiska na różnych formularzach, dlatego też taki tytuł tego dzieła „MONOGRAM”. Kozka objechała cały świat, a kierunek sztuki, który rozwinął się dzięki Robertowi i jego kozie, to „Combine”. Innowacyjnością tego kierunku w sztuce jest przekonanie, że wszystko ma jakąś wartość i może łączyć się ze sztuką lub być sztuką. Obrazy Roberta stały się eksponatami. Miały swoją dynamikę i wolum. Były trójwymiarowe, kolorowe i pełne humoru. Nie była to sztuka tylko dla wtajemniczonych „znawców”, ale dla odbiorców cieszących się życiem i szukających ciągle czegoś nowego, czegoś zaskakującego, mającego wiele wspólnego z codzienną „sztuką życia”.

Dzisiaj kozka z oponą w pasie jest tyle warta, co całe stado kóz. „Monogram” stał się klasykiem i ikoną pewnego czasu, epoki która wniosła tak wiele do nowoczesnej sztuki. Mimo, że Roberta w moim życiu nie spotkałem, to jednak on ciągle towarzyszył mi w popich artystycznych wędrówkach po bazarach, targach staroci i ciekawych miejscach, które przeważnie owocowały kupnem jakiegoś nietuzinkowego przedmiotu. Obecnie moje zgromadzone eksponaty dają mi coraz więcej zadowolenia. Nie naśladują prac Roberta, a jedynie kontynuują tę jego myśl, że wszystko ma wartość i sens.

Po latach przyglądania się jego pracom muszę nieco skorygować wypowiedź mojego wspańskiego kolegi malarza bowiem „również kładzenie papy na dachu może być sztuką” dodam, że „oczywiście w zależności od tego kto ją kładzie”.

Kicz albo głębokie wzruszenie



Bolesław Bieniasz

Belgia

Jeszcze w przedszkolnym wieku miałem okazję uczestniczyć w fascynującym wprost spektaklu międzynarodowego cyrku występującego gościnnie w mieście.

Jeden z numerów ilustrował niecodzienną lekcję muzyki. Słoń przykryty purpurową kapą ciągnął pianino stojące na platformie. Małpa przebrana za Mozarta wunderkinda cesała kudłatego pieska, podczas gdy jej profesor prezentował początek słynnej piosenki „Ah vous dirai-je maman”, streszczający się do siedmiu dźwięków, z czego sześć pierwszych stanowiły powtarzane nuty. Słoń, karmiony bananami przez clowna, postępował miarowo. Po okrążeniu areny, zarazem po krótkim momencie

osłuchania się, małpa wskoczyła na kolana swego mistrza, wpatrzyła się w jego palce biegnące po klawiszach i – małpując go – odegrała bezbłędnie poznaną melodię : la-la, mi-mi, fa-fa, mi . W nagrodę otrzymała kilka cukierków owiniętych w kolorowy staniol. Publiczność szalała z zachwyty, a słoń, widząc czekającą na niego wiązkę marchewki, skierował się ku wyjściu. Ten niewiarygodny numer wrył się wszystkim w pamięć. Nikt nie robił zdjęć. W tamtych odległych już czasach aparaty fotograficzne należały do rzadkości, a kolorowe zdjęcia nie zostały jeszcze rozpowszechnione. Purpurowa kapa, banany, marchewki i błyszczący staniol uszłyby uwagi na czarno-białych odbitkach.

W jakiś czas potem, w drukowanym programie tego słynnego cyrku ukazała się krótka wzmianka na temat

podziwianej przez setki tysięcy widzów lekcji muzyki, zredagowana w esperanto, który to język zataczał coraz szersze kręgi. Obecna na spektaklu młoda dziewczyna, daleka krewna prof. Zamenhofs, wynalazcy tego języka, po przeczytaniu tej notatki osłabła wprost z emocji i osunęła się na stołku. Wszystko skończyło się pomówieniem sanitariusza o zbyt nachalne zajmowanie się omdlałą i zupełnie niepotrzebne zaaplikowanie jej sztucznego oddychania.

Bolesław Bieniasz

12/ 6/ 22

© SABAM Belgium



Związek Piłsudczyków

Niedawno dostałam od naszych współzałożycieli piękne zdjęcia. W ostatnich latach nie mieliśmy możliwości się spotkać na naszych zebraniach tym większa radość sprawiły te zdjęcia. Danuta i Wiesław Kapergrenowie pomimo kłopotów zdrowotnych starają się działać na rzecz naszego kraju.

Związek Piłsudczyków obchodzi 33-lecie działalności. Podczas jubileuszowej gali minister Andrzej Dera, w imieniu



prezydenta RP Andrzeja Dudy, wręczył Medale Stulecia Odzyskanej Niepodległości. Brązowym Medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis uhonorowana została Danuta Teresa Kapergren-Kapturowicz, za zasługi w krzewieniu polskiej kultury w Szwecji.

Piłsudczycy zebrali się w sali Niebo Polskie Urzędu Marszałkowskiego w Gdańsku. Minister Andrzej Dera wręczył Medale Stulecia Odzyskania Niepodległości. Wojewoda pomorski Medal Zasłużony Kulturze Gloria Artis w imieniu ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu wręczył Danucie Teresie Kapergren-Kapturowicz, która 43 lata spędziła w Szwecji. Tam organizowała pomoc dla potrzebujących w Polsce i krzewiła polską kulturę. Jest założycielką jedyne w Skandynawii Ogniska Młodzieżowego „Kwiaty Polskie”. Odznaczenia honorowe trafiły m.in. do prezesa Stowarzyszenia Godność, Czesława Nowaka i autora książki „Piłsudski między Stalinem a Hitlerem”, Krzysztofa Raka.

Dziękujemy i życzymy dużo zdrowia

Opracowała Halina Godecka



Gitta
Rutlege

Polska

Bezszelestnie

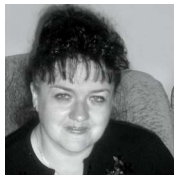
w sanktuarium dławiącej ciszy
długo oczekiwane spotkanie...
odczuwasz na przemian
radość z niepokojem,
do głosu dochodzi
intensywne rozmyślanie

jak podczas świętej spowiedzi ,
układasz...
scenariusz czekającej rozmowy
kolejna myśl, dogania następną
ale... nasuwające się pytania
pozostają bez odpowiedzi

jak uświadomić,
że brak kontaktu...torturą,
że cierpisz,
że boli...
czy błagać o zrozumienie ?
czy samodzielnie z cierpienia wyzwolić?

wprawdzie odsunięta na boczny tor,
ale...
Z WIELKIM POCZUCIEM GODNOŚCI
utrzymujesz głowę,
ponad taflą... utopijnych marzeń
dla niektórych,
zbyt trudnych do zrozumienia,
a gdy sytuacja,
wymyka się z pod kontroli
ty...**BEZSZELESTNIE** trwasz
w czeluści zapomnienia

nie narzekasz,
nie żalisz się,
nie prosisz już...o NIC



E w a

M i c h a ł o w s k a - W a l k i e w i c z

P o l s k a

Historia krakowskiego muzeum

Muzeum Farmacji Uniwersytetu Jagiellońskiego Collegium Medicum

Krakowskie Muzeum Farmacji, to jednostka Wydziału Farmaceutycznego Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego. To największe, a zarazem najstarsze muzeum farmacji w Polsce. Ten artykuł powstał dzięki Pani dr Agnieszce Rzepieli, Dyrektor Muzeum Farmacji UJ CM.

Rok po zakończeniu działań wojennych

Powstało ono w roku 1946, a jego inicjatorem był prawnik dr Stanisław Proń. Placówka ta działała przy Okręgowej Izbie Aptekarskiej w Krakowie, jako Muzeum Aptekarstwa Ziemi Krakowskiej. W 1961 roku muzeum to zostało włączone do Wydziału Farmaceutycznego Akademii Medycznej im. M. Kopernika w Krakowie. Siedzibą tej placówki jest zabytkowa kamienica, znajdująca się przy Trakcie Królewskim w Krakowie. W niej to zachowało się wiele cennych elementów dawnej architektury miasta, do których należą gotyckie piwnice, renesansowe oraz barokowe stropy, a także XIX-wieczne malowidła ścienne.

Możemy tu podziwiać....

Zbiory tego muzeum, zebrane z aptek z całej Polski, obrazują historię aptekarstwa od epoki średniowiecza po czasy nam współczesne. Są wśród nich naczynia apteczne, w tym cenna kolekcja majolik czyli ceramicznych naczyń, z europejskich manufaktur. Jest tutaj także zbiór moździerzy mających różne wielkości i kształty. Zachowany jest tu też sprzęt laboratoryjny oraz utensylia i inne pamiątki po wybitnych farmaceutach.

Kolekcja filatelistyczna

Możemy w Muzeum oglądać także kolekcję filatelistyczną, dotyczącą historii farmacji. Są tutaj też zachowane osobliwości nawiązujące do dawnych metod leczenia. Co



najważniejsze, w Muzeum tym odtworzone zostało wnętrze XVIII-wiecznej apteki klasztornej, a także dawne laboratorium apteczne, piwnica z beczkami i butelkami na wina lecznicze oraz strych. Na tym strychu jak nie trudno się domyśleć, przechowywano oraz suszono zioła lecznicze.

Wyjątkowe meble

Na pierwszym piętrze eksponowane są dawne meble apteczne. Oczywiście służyły one niegdyś aptekom nie tylko w Krakowie. Ich wygląd nawiązuje do stylu neobarokowego, eklektycznego, a także empire i Biedermeier. Część ekspozycji jest poświęcona dziejom zabytkowych aptek Krakowa oraz pewnemu

krakowskiemu farmaceucie Tadeuszowi Pankiewiczowi. Ten wielki duchem aptekarz polski, w okresie okupacji niemieckiej prowadził aptekę w krakowskim getcie, a przede wszystkim, ratował uwięzionych w nim Żydów.

Cudowna biblioteka

Do Muzeum należy też biblioteka wraz z archiwum. Przechowywane są w nim dawne zielniki, urzędowe lekospisy czyli tak zwane farmakopee, a także archiwalia związane z historią aptekarstwa i farmacji. Stała ekspozycja Muzeum krakowskiego, rozmieszczona jest w 12 salach na pięciu kondygnacjach, począwszy od piwnic, aż po strych.

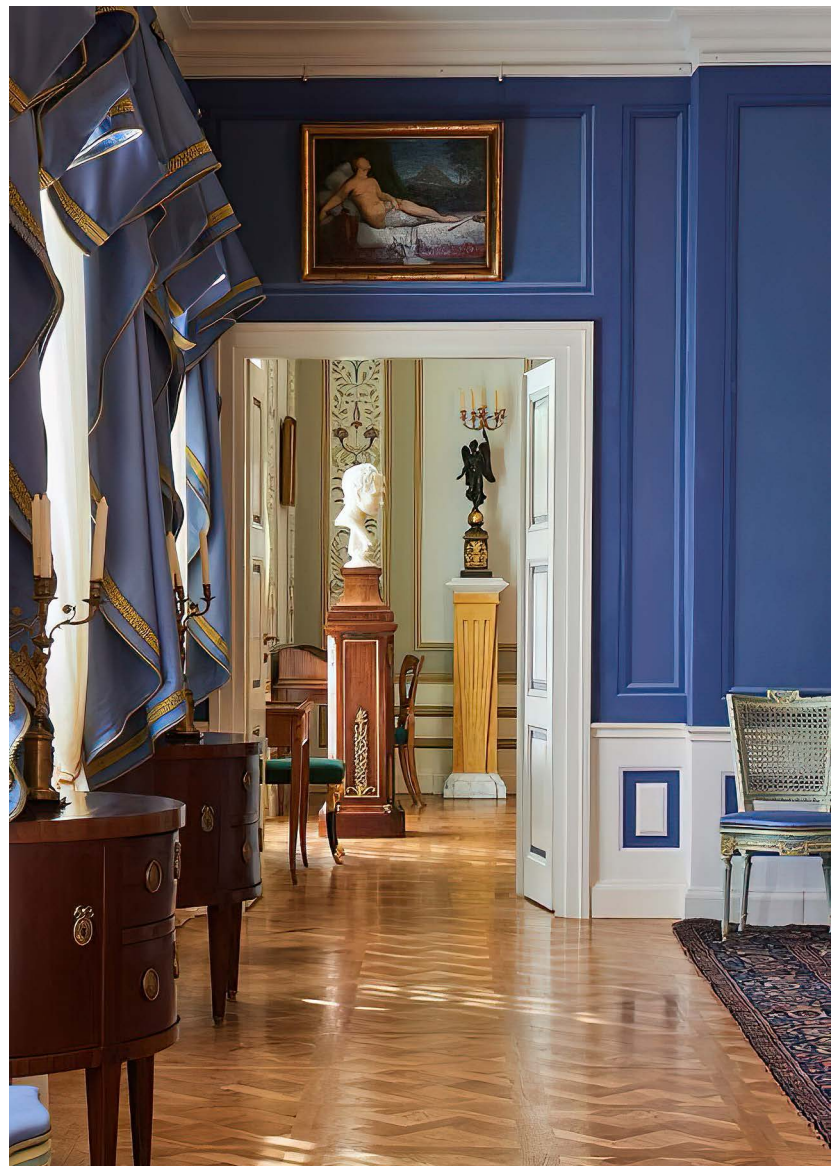
Pałac Pod Blachą w noc muzeów

Rezydencja Księcia Józefa Poniatowskiego

Pałac pod Blachą, lub inaczej pałac Lubomirskich, to budynek z okresu późnego baroku znajdujący się u podnóża Zamku Królewskiego w Warszawie. W 1651 roku, królewski płatnerz Wawrzyniec Reffus rozpoczął w miejscu obecnego pałacu budowę jednopiętrowej kamienicy. Okres potopu szwedzkiego, znacznie nadwątlił tę już wtedy okazałą budowlę. Ale została ona odbudowana, by dalej brylować w stolicy Polaków.

Odbudowany i przebudowany

Odbudowany on został po zniszczeniu szwedzkim, które nastąpiło w roku 1657 przez wojska Jerzego Rakocznego, a przy okazji został on przebudowany. Przebudowa ta miała miejsce w roku 1701, z przeznaczeniem pałacu dla podkomorzego wielkiego Jerzego Dominika Lubomirskiego. Był to pałac na nasypie ziemnym, z akcentami późnobarokowymi, wykonanymi przez Jakuba Fontanę. Dobudowano wówczas mu dwa skrzydła boczne, a cały budynek nakryto blachą, której zawdzięcza on swoją dzisiejszą zwyczajową nazwę. Pałac ten, posiada elewację frontową, którą ozdobiono czterema korynckimi kolumnami.



Królewski zakup

W 1776 roku, pałac ten został zakupiony przez Stanisława Augusta Poniatowskiego, z przeznaczeniem na mieszkania dla dworzan. Był on jednak włączony do zespołu zabudowań zamkowych. Rezydował tam m.in. marszałek koronny Jerzy Mniszech. Skrzydło północne nadbudowano z czasem o dwa piętra i połączono z Królewską Biblioteką. W 1794 roku, a był to czas insurekcji kościuszkowskiej, król przekazał pałac swemu bratankowi księciu Józefowi Poniatowskiemu, który wprowadził się do niego w roku 1798. Wraz z nim w pałacu zamieszkała jego siostra Maria Teresa z Poniatowskich Tyszkiewiczowa oraz jej francuska przyjaciółka, Henrietta z Rarbatan hrabina de Vauban. Hrabina ta mieszkała w pałacu przez 17 lat.

Salon warszawski

Od 1798 roku, pałac ten stał się jednym z najsłynniejszych salonów Warszawy. Był on miejscem wystawnych przyjęć, balów i przedstawień teatralnych. Po

opuszczeniu w 1806 roku Warszawy przez wojsko pruskie, książe Józef gościł w nim m.in. marszałka Francji Joachima Murata. Po objęciu w 1807 roku, przez Józefa Poniatowskiego stanowiska ministra wojny Księstwa Warszawskiego, Pałac pod Blachą stał się siedzibą nowego ministra i jego kancelarii.

Śmierć w Elsterze

Józef Poniatowski wykonywał swój ostatni rozkaz wydany mu przez Napoleona, na jesieni roku 1813 w kampanii niemieckiej. Wykonywał on zatem, osłonę odwrotu armii francuskiej. Mając za sobą przedwcześnie wysadzony most na rzece Elsterze, został Józef ciężko raniony, rzucił się więc z koniem do wezbranej rzeki i został omyłkowo ostrzelany przez Francuzów stojących na drugim brzegu. Po śmierci księcia Józefa Poniatowskiego, która miała miejsce w roku 1813, pałac odziedziczyła Maria Teresa z Poniatowskich Tyszkiewiczowa, która w roku 1820 sprzedała go carowi

Aleksandrowi I. Jego to książe Józef uważał za największego wroga Polski. W pałacu znalazły się mieszkania i stancje służby zamkowej oraz siedziba urzędów generał-gubernatorów warszawskich.

W wolnej Polsce

W 1918 roku, pałac przekazano Ministerstwu Spraw Wojskowych. W roku 1920 nadano mu funkcję gmachu reprezentacyjnego Rzeczypospolitej. W jego południowym skrzydle od roku 1924, mieszkał Stanisław Przybyszewski. W latach 1926–1939 w pałacu mieściły się biura Kancelarii Prezydenta oraz mieszkania prywatne. W wyniku przebudowy przeprowadzonej w latach 1932–1937, rozebrano dwa piętra pałacowe nad skrzydłem północnym i przywrócono tej budowli wysoki dach.

W czasie II wojny światowej, spalono skrzydło pałacowe. Po powojennej odbudowie pałacu, mieści się w nim Archiwum Akt Dawnych.



Ciary,

czyli Czwartkowe wino w dobrym towarzystwie

Stefan
Godecki

Niemcy

„Każda idea ma kiedyś swój początek” a Einstein powiedział, że „jeśli na początku jakaś idea nie brzmi absurdalnie, to nie ma najmniejszej nadziei na jej sukces.”

Gdyby ktoś trzy lata temu powiedział mi, że będę w każdy czwartek spotykał moich wspaniałych przyjaciół, nigdy bym w to nie uwierzył. Jeszcze mniej prawdopodobne było wspólne pisanie książki.

Przyjrzyjmy się jednak tej idei spotkań trochę bliżej.

Czas COVID-u, to straszna tragedia dla świata. Czas zagubienia, bezradności i oczekiwania. Wolność, którą mieliśmy nagle przestała istnieć. Zastąpił ją strach i oczekiwanie na powrót tego co już mieliśmy, a w sumie tak mało szanowaliśmy. W czasie gdy wyjście na ulicę, do kina czy sklepu łączy się z możliwością zachorowania, chęć spotkania się i zwyczajnej rozmowy urasta do roli „nowego święta”, które wcześniej nie znaliśmy. Jest to też czas, w którym powstają nowe pomysły, ale i szansa na lepsze poznanie samego siebie. Przez zupełnie nową perspektywę bardzo szybko zmieniają się dotychczasowe kryteria, wartości i oceny. Jest dużo czasu, w którym możemy chcieć zrozumieć innych.

W tym miejscu zaczyna się historia „7 wspaniałych”, którzy po ponad 40 latach od poznania się z kolegów razem studiujących stali się przyjaciółmi. Przyjaźń, to słowo, które w moim życiu używałem bardzo rzadko. Przyjaźnie, które się ma od dzieciństwa lub od lat szkolnych, wykruszały się z latami. Te z okresu studiów, w moim wypadku skończyły się zaraz po studiach z powodu wyjazdu do innego

kraju. W obcym kraju dla mnie zaczęła się walka na froncie egzystencji i mało miałem czasu na zastanawianie się o co „walczyć” moi koledzy. Przez lata nie miałem też kontaktu ze „starym światem” co na początku wcale mi nie przeszkadzało. Wspomnienia ze stanu wojennego i mojej matki oblanej zieloną farbą z helikoptera na jednej z demonstracji, a później szukającej pomocy w moim domu, chcąc ukryć się przed milicją, utwierdzały mnie w przekonaniu, że moje decyzje wyjazdu z jednej strony bardzo ciężkie, z drugiej były słuszne.

Czas mijał i powoli dawne kontakty, często przez przypadek zaczęły być znowu aktualne. Wspólny wyjazd na narty do Włoch, spotkanie w Warszawie, spotkania w Szczyrku na zjazdach całego naszego rocznika, odnowiły dawne wspomnienia i chęć dowiedzenia się więcej o innych. To był dobry moment aby w chwili trwogi jakim był COVID, postarać się skierować myśli na inne tory.

Zacząło się od jednego telefonu, później możliwości pojawiły się uzgodnienia spotkania na skypie i tak pomału nasza grupka zaczęła nabierać treści i koloru. Szybko okazało się, że nie wszyscy z tej początkowej jakże spontanicznej grupy mieli czas, ochotę i być może coś do powiedzenia, aby zaistnieć w regularnych czwartkowych spotkaniach.

Teraz już nie pamiętam, ale jestem prawie pewny, że to Gosia ustaliła termin naszych spotkań na czwartek i wszyscy to zaakceptowali. Jest zresztą do dzisiaj „szefowa” która nadaje ton i rytm całej grupie co odbieramy z wielką wdzięcznością. Wojtek zaproponował nowy adres na

skypie „Czwartkowe wino w dobrym towarzystwie”, który wprowadził nowe akcenty smakowo kulinarne i poczucie, że jesteśmy doborowym towarzystwem. To spodobało się wszystkim i tak też zostało. Nasze spotkania dość szybko pokazały, że ostatnie 40 lat, to nie był czas samych sukcesów, ale też czas dramatów, tragedii, ale mimo to mówiło się o tym otwarcie i szczerze w czasie naszych spotkań. To dobre samopoczucie w grupie powoli zaowocowało chęcią rozmów nie tylko o przeszłości, ale również o przyszłości. Wzrastała w nas ciekawość co inni sądzą na dany temat i tak zaczęły się rozmowy, które bez upiększania można nazwać filozoficzno-intelektualnymi, a od czasu do czasu i o dupie Maryny.

W tych rozmowach słowo „ciary” pierwszy raz dla mnie zaczyna odgrywać znaczącą rolę. To określenie było mi do tej pory nieznane. Zastąpiło bardzo wiele odczuć wiążących się z różnymi tematami. Jest słowem uniwersalnym, które zastępuje często długie, niepotrzebne opisy i wyjaśnienia. Było o architekturze, o malarstwie, było o muzyce, była wymiana książek, było odkrywanie zupełnie nowych pól do rozmów wciągających i na długo pozostających w głowie. Były ciasteczka, były przesyłane wina, głośniki, były życzenia takie całkiem normalne, a dzisiaj gdzie indziej tak rzadkie serdeczności. Ja dzięki książce, którą dostałem od Mirka a sam bym jej pewnie nie kupił, bo i gdzie? Poznałem „Świat Metaksy”. Który zaowocował dość oryginalnym obrazem i stał się też moim mentalnym światem. Mirek zaskoczył mnie swoją pasją do muzyki klasycznej a jego

wyszukany, bardzo oszczędny humor jest z nami jak obraz więcej wart niż 1000 słów. Wojtek swoją znajomością historii pokazał mi często, że jeszcze trzeba dużo czytać żeby wszystko zrozumieć. Dodka można słuchać godzinami gdy opowiada o Chorwacji, smacznym jedzeniu i dobrych winach. Reportaż Dodka, który zrealizował ze swoim studio IT techniczna oprawa, która zasługuje na najwyższe uznanie. Nasz reporter potwierdził, że ciąg dalszy nastąpi. Na szczęście nie jest to tylko męski klub. Mamy Basię, Gosię i Jolę.

Basię znałem na studiach, chyba najlepiej z całej szóstki, ale nie wiedziałem, że jej zaangażowanie w prawdziwą wolność nie skończyło się tylko na studenckiej opozycji. Internet pomógł mi poznać inną Basię. Mogłem przeczytać, z największym podziwem, co robiła, co osiągnęła i czym może się dzielić dzisiaj z nami. Jestem pewny, że gdyby Basia napisała książkę o swoich przeżyciach, to byłby to nie tylko kawał historii, ale pełną

napięcia opowieść o niestrudzonej chęci walki, ciągłej gotowości do pomocy i to dnia dzisiejszego. Jestem pełen podziwu i szacunku. Zarówno Basia, Gosia i Jola są prawdziwymi bohaterkami swojego czasu. To wielki trud wychować dzieci bez pomocy partnera, pracować i ciągle się starać o to, co najlepsze dla rodziny. Podziwiam i chylę czoła. Bez wspaniałej organizacji Gosi i zawsze optymistycznej Joli, która pędzi na spotkanie z zawrotną prędkością, nie sądzę, że przetrwalibyśmy pierwsze miesiące.

Nasze Czwartkowe spotkania stały się (jak u króla Stasia) instytucją, którą cała grupa traktuje bardzo poważnie, a wszyscy cieszymy się już od piątku na następny czwartek bez względu na miejsce, w którym będziemy przebywać w międzyczasie. Ważnym elementem naszych łączącym tematycznie nasze czwartki jest wino, bo już od 3000 lat wiadomo, że „In vino Veritas”. Jednak „Czwartkowe wino w dobrym towarzystwie” smakuje zupełnie inaczej niż wino

wypite w czwartek w samotności. Od pierwszych spotkań do dzisiaj staliśmy się nie tylko smakoszami, ale też znawcami wina. Poznaliśmy prawie wszystkie istniejące szczepy i mieszanki smakowe, a wyzwanie polega na tym aby wszyscy w ten wieczór spotkań mieli ten sam gatunek wina. Udaje się to mimo trudności w 98% i to też jest pełne podziwu. Łączy się to nieraz z odwiedzeniem wielu sklepów i winotek zanim dostanie się to wino z listy Małgosi. Od dwóch i pół roku zazdroszczę moim przyjaciołom posiadanie „Biedronki”, która zaspokaja najbardziej wybredne wymagania, gdy ja w tym czasie często schodzę sobie nogi do kolan zanim dostanę ten wymarzony, jedyny trunek. Wszystko jest dokumentowane i „Czwartkowe wino w dobrym towarzystwie” doczekało się dzięki Wojtkowi swojego kalendarza, gdzie nasze spotkania można obejrzeć co miesiąc w kolorze.

Spotkanie w Wiesbaden stało się już legendarne, a Gosia dalej planuje następne.



Z przyjemnością muszę przyznać, że ta bezgraniczna gościnność Gosi bardzo zachęca do takich spotkań. A starania w kierunku utrzymania normalnej, przyjaznej atmosfery, którą każdy z nas stara się w ramach swoich możliwości jeszcze ulepszyć, chyba się udaje, i w tych działaniach nie zauważyłem zmęczenia.

Czwartkowe spotkania są dla mnie inspiracją, przyjemnością i satysfakcją. Opowiadam o nich innym, którzy słuchają tego z podziwem i zazdrością. I wcale im się nie dziwię, bo mają czego nam zazdrościć!

Nasze Czwartki często porównuję do opowieści mojej znajomej o spotkaniu jej syna ze swoją narzeczoną w Walentynkowy wieczór w czasie pandemii. A było to być może tak? Pewnego razu lub dawno, dawno temu... w pewnym dalekim księstwie panował zakaz wychodzenia domów nie mówiąc o podróżowaniu do innego księstwa. Spotkanie z ukochaną było więc niemożliwe. Tylko opcja wirtualna mogła uratować tę dramatyczną sytuację. Oboje przygotowali te same potrawy, upiekli to samo ciasto, kupili to samo wino, ubrali się świątecznie i usiadali do tak przygotowanych stołów przed monitorami, tyle że w różnych księstwach. Spotkanie zaczęło się od morza łez, ale z każdą minutą rosło przekonanie, że ich uczucie działa też na odległość. Te początkowo dwa stoły w różnych księstwach z czasem nie były już tak odległe i oboje mieli wrażenie, że znajdują się w tym samym pomieszczeniu. Dzisiaj mieszkają już razem i czekam na ślubne zaproszenie z księstwa, w którym nie ma już paskudnych zakazów.

Ja po tym czasie wspólnych czwartków, mam też wrażenie, że zawsze siedzimy przy wspólnym stole. Na ścianie wisi makatka u Wojtka Żarowy, u mnie od czasu do czasu zmieniają się obrazki w tle. Jola zmienia kanapy pilnując wnuków. Regał Basi i Mirka dopełnia to wirtualne pomieszczenie dużą ilością ciekawych rzeczy. U Wojtka od czasu do czasu można pozdrowić Victorię, która zawsze ma dobry humor i ciepłe słowo. Nie zapomnijmy o kotach, ale to osobna historia.

Można by pisać jeszcze wiele na temat naszych spotkań, ale jestem ciekaw jak widzą to moi przyjaciele, bo tak jak jesteśmy różni, tyle też mamy różnych pomysłów i spostrzeżeń. Jestem przekonany, że już dzisiaj nasze „Czwartkowe wino w dobrym towarzystwie” jest fascynującym scenariuszem na film. Myślę też, że ta książka będzie mocnym motywem dla filmu fabularnego.

Tytuł już mam:

„Czwartkowe wino w dobrym towarzystwie, czyli są ludzie co sobie żyją”

Maj 2020



Bożena
Sroka

Smutno

Smutek jest gęstą mgłą
zasłaniającą pole widzenia.
Jest dojmująco przenikliwy,
sam ustala zasady gry
wyjątków nie uznaje wcale.
Znowu usiadł na ramieniu,
głaska mnie po głowie,
utwierdza w przekonaniu
jak bardzo jest mi źle.
Tak. Tak.
Biedna mówi, biedna ty.
Wtedy czuję, że tak jest.
Smutek odbiera mi
logikę myślenia.
Wszystko we mnie
smutkowi poddało się.
Łzy bez ostrzeżenia
stają w oczach,
czyjś wzrok, śmiechu salwa,
to zły wzrok, śmiech nie w porę.
Oj biedna ty, biedna.
Zamyślam się często,
to druga strona smutku,
odpływam nie wiem gdzie,
gdzieś, gdziekolwiek byle nie tu.
Usta dziwnie wykrzywiam,
czuję jak drżą, głupie drżą,
płacz na włosku wisi jest tuż, tuż
Tak. Tak.
Biedna ty, biedna.
Smutek wie kiedy
może zjawić się.
Budzi go niepewność,
porusza go lęk i prowokuje
mijający wszystkim nam czas.
Biedni my. Tak. Tak.



Polonijne wieści spod klonu



Bożena Pawłowski-Kilanowski

Kanada

Polonia w Saskatoon, Saskatchewan – jak zresztą w całej Kanadzie – może już cieszyć się przywróceniem w dużym stopniu „normalności” po minionych ponad dwu latach restrykcji, związanych z „wszędobylską” pandemią.

Przedstawiany od wielu lat Art-Show, organizowany głównie przez braci Irka i Toni Świąteckich znów mógł być podziwiany przez fanów sztuki. W tym roku twórczość swoją reprezentowało siedem polonijnych artystów. Wspomniani wcześniej bracia Ireneusz i Antoni Świątecki, Darlene Steel, Jolanta Kędra, Krzysztof

Wojnarowicz, Jordan Baraniecki i Jennifer Mróz.

Zaprezentowano też wystawę znanej, polonijnej artystki w pierwszą rocznicę jej śmierci – Elizabeth Yonza (Elżbieta Jońca). Zachwycała ona wszechstronnym talentem – malarstwo, rzeźba, rzeźba w lodzie, murale. Zajmowała się też fotografią,

instalacjami artystycznymi i odnawianiem dzieł sztuki. Wśród wielu portretów najbardziej znany jest portret polskiego papieża, który Jan Paweł II wzbogacił swoim podpisem podczas prywatnej audiencji młodzieży z Polskiej Szkoły w Saskatoon. Wierzymy, że: „Nie umierają ci, co żyją w naszej pamięci” i pozostają z nami poprzez swoją twórczość.

Słów kilka o tegorocznych uczestnikach Art-Show.

Antoni Świątecki – pasjonuje się malarstwem od ponad 50 lat. W swoich pracach faworyzuje krajobrazy (akryle i olej na płótnie). Jego prace były eksponowane w wielu galeriach sztuki, w publicznych bibliotekach i w szkołach – wiele jego dzieł znajduje się w prywatnych kolekcjach malarstwa.

Ireneusz Eric Świątecki – w swoim malarstwie przedstawia na ogół postacie techniką olej na płótnie. W wolnym czasie tworzy też metalowe rzeźby. Jest autorem dwujęzycznego wydania książki „Podróż w nieznanne” (w języku polskim i angielskim), która była promowana na wystawie w dziale literackim.

Darlene Steel – (z domu Czajkowska) reprezentuje i „uprawia” malarstwo





abstrakcyjne (Abstract Paintings). Swoją pasję rozwija już prawie 20 lat a jej wystawy są znane pod nazwą „Darlene’s Organized Chaos” – Zorganizowany Darlene Chaos.

Jolanta Kędra – maluje od 2015 roku, głównie akrylami, ale często sięga też po akwarele i farby olejne. Jest samoukiem i określa się jako kolorystka, co widać na jej pełnych wyrazistych kolorów obrazach. Lubi sięgać po niekonwencjonalne powierzchnie takie jak puste słoiki szklane, muszelki czy kamyki. Więcej informacji na stronie internetowej jolakedraart.ca

Krzysztof Wojnarowicz – rysował „od zawsze”, a pasję malarską rozwijał już w latach szkolnych. Uczęszczał na 6-tygodniowy kurs na University of Saskatchewan. W pełni znalazł czas na swoje hobby dopiero na emeryturze w 2018 roku.

Jordan Baraniecki – M.F.A. (Masters of Fine Arts) – studiował m.i. w Łodzi i w Krakowie. Na Art-Show przedstawił trójwymiarowy kolaż (three dimension collage).

Jennifer Mróz – najmłodsza, 11-letnia artystka zadebiutowała kolekcją rysunków postaci ludzkich, inspirowana oglądanymi filmami rysunkowymi (cartoons). Rozwija swój własny styl.

Tegoroczny Art-Show jak kilka poprzednich uzupełniła także wystawa

literacka. Zajął się tym Bożena Pawłowska-Kilanowski – autorka pięciu tomików poetyckich, w którym ostatni pt. „Babel” jest zarazem tłumaczeniem jej poezji na dziewięć języków. Poetka jest członkiem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie w Londynie, w Anglii, należy także do Zrzeszenia Literatów Polskich w Chicago, USA. Jest też członkiem Stowarzyszenia Academia Europaea Sarbieviana

w Polsce. Brała czynny udział w Salonach Książki Polonijnej w Europie oraz w XI Salonie Prasy Polonijnej w Częstochowie. Na wystawie Art-Show w Saskatoon prezentowała polskie książki z Holandii, Francji, Włoch, Anglii, Kanady, USA i z Polski. Najbardziej zbliżona tematycznie książka to „Pejzaż z wędrowcami” – Elżbiety Wicha-Wauben z Holandii, przedstawiająca wiersze, odzwierciedlające jej refleksje podczas oglądania obrazów i rzeźb w różnych galeriach i muzeach w Europie. No, ale to obszerny temat, godny recenzji wspomnianej książki. Polecam.

Sponsorem Art-Show jest od lat Katolickie Stowarzyszenie Polaków w Saskatoon, Saskatchewan. Słowa uznania i podziękowanie kieruję dla nowego prezesa zarządu KSP – Dariusza Zatorskiego i wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób pomagali podczas tego polonijnego wydarzenia artystycznego.

Należy też wspomnieć, że Art-Show w Saskatoon to nie tylko wystawa, ale także możliwość nabycia ulubionych dzieł sztuki. W tym roku 25% dochodu ze sprzedaży czyli 1.220,00 dolarów kanadyjskich zostało przeznaczone na pomoc humanitarną dla Ukrainy. Dziękujemy wszystkim.



Mazury ...ach Mazury!



Lucyna Krupa-Szadło

Polska

Czas wakacji większość z nas planuje jeszcze w zimie lub najpóźniej z początkiem wiosny. Moje wakacje także planowałam z tak dużym wyprzedzeniem. Czerwcowy wyjazd wakacyjny okazał się bardzo udany zarówno lokalizacyjnie jak i pogodowo, ale mój pobyt na Mazurach nie był zaplanowany. Wyjazd na Mazury, to wyjazd spontaniczny. W konsekwencji bardzo ciekawy. Siedem dni i siedem nocy na wodzie, w małej przestrzeni w 7 osób. Och! można się wiele o sobie dowiedzieć w takich warunkach, ale to osobna historia.

Ja nigdy na Mazurach wcześniej nie byłam, dlatego chętnie poddałam się zaciekawieniu,

mimo wielu obaw o pogodę, o huśtanie na falach, o przebywanie 24h z obcymi osobami w małej przestrzeni...

W przewodnikach piszą „Warmia i Mazury, czyli Kraina Tysiąca Jezior słynie z malowniczych akwenów, pięknej przyrody oraz ciekawych zabytków”. I rzeczywiście udało się cały tydzień pływać po „malowniczych akwenach” wśród pięknej przyrody. Przygodę rozpoczęliśmy w miejscowości Stare Sady. Przepiękny port położony nad jeziorem Tałty. Tutaj po zaokrętowaniu na łodzi ruszyliśmy do Rynu, w którym spędziliśmy noc. Sobotnia szarość dnia przerodziła się

w niedzielny deszcz, który mi nie przeszkodził w spacerze po Rynie. Mimo złej pogody spacer wzdłuż nabrzeża jeziora Ryńskiego – wprowadził mnie w klimat tego ciekawego miasta a nabrzeże jeziora Ryńskiego, to z pewnością jedno z piękniejszych miejsc na Mazurach. Jego wyjątkowość polega również na tym, że można tu dopłynąć niemal z każdego zakątka Krainy Wielkich Jezior. Niezwykły urok jezior Tałty i Ryńskiego, ich urozmaicona linia brzegowa, liczne zatoki, półwyspy i wyspy i atrakcyjne miejsca do biwakowania zachęcają do zboczenia z głównego szlaku i dopłynięcie do Rynu. Z nabrzeża

Jezioro Niegocin



jest wszędzie blisko. Do sklepów w centrum miasta, Punktu Informacji Turystycznej, zamku, muzeum i galerii w Ryńskim Centrum Kultury, czy sklepu z pamiątkami. Warto zajrzeć także do znajdującego się nieopodal odrestaurowanego młyna z XIX w. W nowym porcie przy pomostach (do których doprowadzona jest woda i prąd) może cumować jednocześnie sześćdziesiąt jachtów. Ma to niestety swoje konsekwencje w trakcie wieczornej i porannej chęci skorzystania z pryszniców lub WC. Ok. 60 łodzi razy min. 4–6 osób załogi.... ale jesteśmy na wakacjach i mamy czas... takie podejście w tej sytuacji wiele ułatwia.

W południe troszkę przejaśniało i popłynęliśmy do Rydzewa nad jeziorem Bocznym. Zatrzymaliśmy się w porcie pn. "Tło dla Mew", który jest położony w samym sercu Szlaku Wielkich Jezior Mazurskich. Klimatyczne miejsce dzięki ludziom, którzy je tworzą a ich motto to: „Chodzimy po tej ziemi boso! Żeby z niej sączyć! Wzlatujemy! Żeby jej nie forsować! Pulsujemy cichutko w rytm natury, oddając tą przestrzeń cudom i zwyczajnym dobrym uczynom. Tło jest wieloznaczne, nie jest skończone, czasem znika, jeśli je dostrzeżesz, jesteś jednym z nas” – jak widziałam to motto przekłada się na styl ich życia.

Wtorek w Rydzewie przywitał nas słonecznie i dobrze bo ruszaliśmy w drogę do Sztynortu przez Jezioro Niegocin, Jezioro Kisajno, Jezioro Dargin aby zdążyć na wieczorny koncert Andrzeja Koryckiego & Dominiki Żukowskiej. Marina w Sztynorcie, to największy port na Mazurach z malowniczą wioską żeglarską, rozbudowaną infrastrukturą, komfortową bazą noclegową i profesjonalną obsługą. Sztynorcki Port, to laureat rankingu miesięcznika „Żagle” z najwyższą, pięciogwiazdkową notą. Sztynort jest miasteczkiem żeglarskim. Można tu spędzić atrakcyjnie kilka dni, zwłaszcza iż w okolicy również jest co zwiedzać. To mała klimatyczna miejscowość słynna także z koncertów szantowych, na które przybywają żeglarze i turyści z wielu miejsc. Przystań, może pomieścić do 450 jachtów, co stawia ją na pierwszym miejscu w Polsce. Spacerując wczesnym rankiem odkryłam, iż ciekawa jest też okolica portu w Sztynorcie. Przede wszystkim warto obejrzyć zespół pałacowy w Sztynorcie, który przez 400 lat był siedzibą starego i znamienitego rodu szlachty pruskiej von Lehndorff oraz regionalnym ośrodkiem kultury europejskiej z bogatymi zbiorami bibliotecznymi, numizmatycznymi i znakomitą kolekcją dzieł sztuki. Jak podają źródła historyczne ostatni właściciel pruskiego majątku – Henryk von Lehndorff należał do antyhitlerowskiego spisku, którego celem miało być przeprowadzenie zamachu





Mamerki, replika Bursztynowej Komnaty



na Adolfa Hitlera w Wilczym Szańcu w pobliskiej Gierłozie. Barokowy pałac, to nie wszystko, piękny park leśny i śpiew ptaków o poranku, to prawdziwa nagroda dla wszystkich spacerowiczów.

Nasza dalsza podróż po jeziorach, to kilku godzinny szlak po jeziorze Mamry z przystankiem w Mamerkach, gdzie w bunkrach była Kwatera Główna Niemieckich Wojsk Lądowych, a teraz jest atrakcją turystyczną. Na terenie kompleksu Mamerki działa muzeum, jedyne takie w Europie poświęcone frontowi wschodniemu w czasie II wojny światowej. 30 ogromnych bunkrów udostępnionych turystom wraz z ich niezniszczonymi wnętrzami i korytarzami robi wrażenie. Ponad 1000 m.kw. ekspozycji, największa makieta bitwy pod Kurskiem (24 m.kw!), makieta bitwy o Stalingrad (16 m.kw.), schrony centrum łączności i dowodzenia (oświetlone z odwzorowanymi wnętrzami, ponad 600 m. kw. powierzchni!), replika 25-metrowego okrętu

podwodnego (legenda Kanału Mazurskiego), a do tego 38-metrowa wieża, z której podziwiać można panoramę jeziora Mamry. Osobiście mogłam, to zobaczyć, choć trochę się ta wieża ruszała.i wiał wiatr, ale widok rzeczywiście piękny. W muzeum udostępniono zwiedzającym replikę ekskluzywnego przybytku pruskiego króla Fryderyka I Hohenzollerna tj. "Bursztynową Komnatę". Dlaczego właśnie tu? Bursztynowej Komnaty jako skarbu prawdopodobnie ukrytego w Mamerkach poszukiwano już w latach 50. ub. w. Badania tego nie potwierdziły, ale ciekawie się ją oglądało.

Z Mamerek Jeziosem Mamry popłynęliśmy do miejscowości Ogonki położonej na przesmyku między jeziorami Świącąty i Stręgiel.

Następny dzień był najdłuższym pływającym dniem po Mazurach z płynęliśmy ponad 7 godzin, po Jeziorze Mamry, Niegocin, Boczne, Jagodne, Tałowisko, Tałty, Mikołajskie, Bełdany aż zakotwiczyliśmy w miejscowości Piaski. Podobno, to jedna z najpopularniejszych i najciekawszych pod względem historycznym wsi na Mazurach. W 1832 roku założyli ją staroobrzędowcy tj.

wyznawcy prawosławia, którzy odrzucili wprowadzone w XVII wieku reformy w cerkwi rosyjskiej.

Po przespanej nocy wyruszyliśmy do miejscowości Nowe Guty – we wschodniej części jeziora Śniardwy. Piękna plaża z nowym oświetlonym pomostem, do którego może przycumować około 15 jednostek. Wieczorem turyści przychodzą aby w romantycznych okolicznościach przy urokliwym zachodzie słońca zrobić sobie zdjęcie lub po prostu pomilczeć.

Pływanie po Mazurach zakończyliśmy dnia następnego wpływając ponownie do Starych Sądów, ale po drodze płynąc kanałami byliśmy zmuszeni zatankować w Mikołajkach...no cóż tutaj naprawdę trzeba było się wykazać wysokimi umiejętnościami manewrowymi. Woda znosi na brzeg lub na inne czekające w kolejce łodzie....nie było to proste.

Mieliśmy super pogodę, na łodzi było wygodnie, troszkę mało przestrzeni ale wszystko co widziałam dookoła rekompensowało te niewygody. Wystarczyło się na dziobie i można było stać się częścią przyrody.

No cóż, ja dodatkowo miałam okazję poznawać te wszystkie miejscowości, każdego dnia wstawałam dość wcześnie (przed 7 rano), aby przebiec swoje 8 km. Dlaczego? Dzięki temu miałam dłuższy dzień i dużo energii. I oczywiście mogłam zobaczyć więcej niż przystań, przy której nocowaliśmy.

Ale nie tylko, bo w ubiegłym roku zdecydowałam się wziąć udział w rocznym Wyzwaniu Fundacji Kobieta Niezależna. Jestem w nim już 11 miesięcy. Wyzwanie, to nie tylko bieganie ale także czytanie, zdrowe odżywianie, zmiana przyzwyczajeń itp. Aby trwać w Wyzwaniu należy być systematycznym, uważnym. Co 3 miesiące jest weryfikacja czy wszystkie zasady były dochowane w należyty sposób przez uczestniczkę projektu. Muszę powiedzieć, że często włączało mi się moje „niechcemię”, ale niezależnie od pogody każdego dnia zakładałam buty i wychodziłam biegać. Zaczynało Wyzwanie 2051 osób (kobiet i mężczyzn), teraz zostało nas 114. Wrzesień jest najtrudniejszym miesiącem – mam nadzieję że dam radę!

Czy wrócę na Mazury? Oczywiście, to jedno z lepszych miejsc do bycia bliżej wszystkiego.





Bożena
Sroka

Polska

Magia nocy

Pod osłoną nocy,
nocna zmiana
historie nocne tworzy.
Spóźnieni kochankowie
za ręce się trzymają
i ukradkiem przemykają
na ostatnią może randkę.
Koty, nocne lubią klimaty,
na dachach do kotki się tulą,
i mruczą jej kołysankę czułą.
Ludzie nocą biją i kochają się,
łatwiej obietnice sobie składają.
W klubach tańczą do upadłego,
nocnego bluesa o utraconej miłości
we łzach i czkawce pijackiej
z głową na blacie, słuchają.
W mroku kroki się rozchodzą
w różne świata strony,
głos w szept się zmienia,
do ścian przywiera.
Nocą otwierają się umysły.
Między barami zmęczeni poeci
weny zgubionej szukają,
muzyk po koncercie liryczne
znajduje nuty i ze słowami splata.
Nocą magia dzieje się.
Pociągi nocne na stacjach
samotnie przysypiają,
do domów krokiem tanecznym
lub ostatnim nocnym tramwajem,
wracają mocno zawiani mężowie.
Marzyciele naiwni przesiadują
na ławkach w zapomnianych parkach,
w gwiazdach spełnienia szukają.
Nocą częściej echo słyhać
jak od szyb nasze myśli odbija.
Czary, mary, iluzja
noc tańczy i śpiewa,
noc wodzirejem jest
nocnego życia.

Rosyjska ruletka

Setki myśli w głowie pędzi,
na głos wypowiedziane
obietnice i kłamstwa.
Stare wyobrażenia,
marzenie zupełnie nowe.
Nie, nie sny...
Życie jest huśtawką,
grą w chowanego,
rosyjską ruletką,
szansą tylko jedną.
Naukowo potwierdzoną
niewiadomą, co spełni się,
co na zawsze przepadnie.
Codziennie brawurowo
ryzykujesz udział w tej grze.

